

magazyn na Wielkanoc

GAZETA LUBUSKA

o. Francesco
Patton

TRZEBA ZEŚWIECCZYĆ WŁADZĘ POLITYCZNĄ

str. 16-17

NIE ZAWINIŁ, ALE
OD 22 LAT SIEDZI
W WIEZIENIU

str. 18-19

ROZMOWA
Z KRYSTYNĄ
PROŃKO

str. 22, 24



www.gazetalubuska.pl

FOT. GETTY IMAGES

Piątek, 3-04-2026
Nr 78 (22.679) • Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)
Nr ISSN 0137-9518 • Nr indeksu 350-222



Wszystko,
co chcecie
wiedzieć o jajku
str. 2

Młode wilki gryzą
stare? Roszady
w lubuskim PŚL
str. 6

Czasem jest trudno,
ale na tym
polega miłość
str. 10-11

TYDZIEŃ Z GAZETĄ LUBUSKĄ

JUTRO

● przy SOBOCIE
tłumaczy, radzi, bawi...

WTOREK

● DODATEK SPORTOWY
Wyniki, tabele i analizy

● PULS BIZNESU

Przepisy prawne, opinie

ŚRODA

● MAGAZYN ZDROWIE
Jak zadbać o siebie i bliskich

CZWARTEK

● POD PARAGRAFEM
Historie kryminalne

PIĄTEK

● PULS POLSKI
Reportaże i publicystyka

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 68 381 70 52, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata@gazetalubuska.pl

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGHCO SIĘ DZIEJE W JAJKU
PODCZAS GOTOWANIA?

S koro jest Wielkanoc, to zainteresujemy się jajkami. Jak wszyscy wiedzą, w jego wnętrzu są dwa obszary: białko i żółtko. W świeżym jajku są one oba płynne, chociaż różnią się kolorem, zapachem, smakiem i właściwościami chemicznymi i fizycznymi. Żółtko ma zapewnić rozwijającemu się kurczątka wszystko, czego potrzebuje do życia i rozwoju. W szczególności zawiera ono różne białka (rozumiane jako substancje chemiczne), węglowodany, tłuszcze, witaminy A, D, E i K, a także minerały: żelazo, fosfor i cynk. Natomiast białko jest wodnym roztworem protein, głównie albumin i różnych aminokwasów. Podczas rozwoju kurczątka jest ono zapasem materiałów, których formujący się organizm nie jest w stanie sam wytworzyć.

Warto zauważyć, że te dwa obszary zachowują się całkiem odmiennie podczas gotowania. Żółtko nieco się ścina, ale obserwowana zmiana nie jest jakaś radykalna. Czasem, w przypadku zbyt długiego gotowania, na powierzchni żółtka pojawia się nalot niebieskiego lub zielonego koloru będący wynikiem reakcji chemicznej między zawartymi w żółtku siarką i żelazem. Psuje to estetykę, ale ten nalot jest absolutnie nieszkodliwy.

Natomiast to, co się dzieje z białkiem (rozumianym tu jako płyn wypełniający 60% objętości jajka) jest zdumiewające. A właściwie byłoby zdumiewające, gdyby nie setki przypadków, w których każdy z nas ten zadziwiający proces obserwował. Chodzi o to, że pod wpływem gotowania płynna, bezbarwna i przezroczysta substancja zamienia się w substancję stałą, zabarwioną na białe i nieprzezroczystą.

Nic innego tak się nie zachowuje. Gotowany ziemniak jest podobny do surowego. Gotowane mięso też. Natomiast białko jajka - nie.

Spróbujmy to wyjaśnić.

Ustaliliśmy wcześniej, że białko w surowym jajku to wodny roztwór protein. Mają one formę długich łańcuchów zbudowanych z aminokwasów. Łańcuchy te są powijane, bo pewne ich fragmenty są hydrofilne i dążą do tego, by być jak najbliższej cząsteczki wody, a inne są hydrofobowe i dążą do tego, by się od wodnego otoczenia oddalić, schować się w środku takiej powijanej cząsteczki. Przez zbiorowość takich powijanych cząsteczek światło przechodzi bez przeszkód, stąd białko widzimy jako przezroczyste i bezbarwne.

Gdy jajko zaczynamy gotować to dostarczana z zewnątrz energia cieplna jest znacznie potężniejsza od tych sił, które wynikały z hydrofilności i hydrofobowości. W efekcie powijane cząsteczki protein zostają rozwinięte. Zaczyna się to, gdy temperatura osiąga 60°C i staje się masowe, gdy temperatura przekracza 80°C. Te rozwinięte cząsteczki protein zaczynają się sklejać ze sobą, w wyniku czego światło nie może się przebić przez taki gąszcz i białko jajka przestaje być przezroczyste. Odbija światło o wszystkich barwach, a wiadomo, że suma strumieni światła o wszystkich barwach daje barwę białą. Co więcej, te posklejane cząsteczki nie mogą się swobodnie poruszać w stosunku do siebie nawzajem, więc białko twardnieje. Ale my widząc to, nie musimy się zastanawiać nad tymi wszystkimi molekularnymi procesami, bo dla nas wystarczy stwierdzenie:

- O, już ugotowane!

Ale jaja! Czyli co zrobić,
by na święta jeść swojskie jajkaTomasz Rusek
trusek@gazetalubuska.pl

Rozmowa z Lubuszaninem Piotrkim*, który koło domu założył sobie... kurnik. I teraz nie wyobraża sobie bez niego życia.

Od kiedy masz kury? Ile ich masz? Jak to się zaczęło?

Kurki mam od 2016 roku. Pomysł nie był mój, bo moja wiedza na temat kur była taka: „kupa” roboty przy tym. A ja chciałem podróżować, zdobywać świat... Aktualnie mam 10 sztuk. Ale na początku było mniej.

Skąd taki pomysł, by w sumie mieszcuch miał swój kurnik?

Jak już wspominałem, pomysł nie był mój, a mojej ówczesnej partnerki. Nasze drogi się rozeszły, ale inwentarz został. To były kury założycielki niczym ojcowie założyciele w USA i było ich siedem i one dały początek mojej historii kuroznawstwa (śmiech - dop. red.). One też ratowały mi życie, gdy było mi ciężko w tym życiu - głównie chodziło o jedzenie. Dlatego dzięki kurom założycielkom każde następne pokolenie nabyte ma dożywotni zakaz ginięcia i poświęcania się dla dobra niedzielnego rosołu - od tego są i będą dalekie kuzynki nabyte drogą kupną w lokalnych sklepach mięsnych. Innymi słowy: moje kurki mają u mnie gwarantowaną kurzą emeryturę.

Dobra, dość okrągłej gadki, przejdźmy do konkretów: ile masz z tego interesu jajek?

Jak moje kurki mają dobry dzień i humor to potrafią sprezentować nawet 15 jajek na dwa dni. Jest więc jest co jeść, jest co dać w prezencie bliskim znajomym.

Ich smak różni się od tych sklepowych? Czujesz to?

Tak różnią się smakiem. I choć nie jest to różnica „wielkości” słodkie - kwaśne, to jest wyrażalna. Można też robić eksperymenty i obserwować jak się różnią jajka w zależności od tego czym karmi się



kury. Kolor żółtka, konsystencja białka... To widać i czuć.

Jak wygląda dbanie o kury? Dużo z tym zachodu? Trzeba się narobić?

Dbanie o kury jest w sumie proste jak się to ogarnie i zrozumie. W mojej zagrodzie wiosną, latem i jesienią mają cienko ścielone słomą od lokalnych rolników. Z tym zawsze jest cyrk, kiedy się poświęci coś nowego, bo są, jako zwierzęta z małymi mózgami, bardzo nieufne co do nowości. Więc pół dnia się czają, jak wrócić do siebie, skoro to coś tam leży. Jedzenie mają mieszane. Ziemniak gotowany z obiady, czasem spaghetti z mięsem... Tak, wiem, że może nie powinny ale skoro jedzą na dziko robaki różnej maści, to czemu mają nie zjeść „świnki” na makaronie spaghetti? Mam jednak zawsze z tyłu głowy obawy, że - czując smak mięsa - bo chyba kury coś tam czują, tak myślę - gdybym stracił przytomność, to mogą mnie znaleźć podziobanego, bo będą chciały mięsa (śmiech - dop. red.). A tak poza tym to jedzą ziarna, głównie owies, pszenicę. Założy, co zaprzyjaźniony rolnik ma na stanie po zbiorach z ze-

szłego roku. Dodatkowo, aby pobudzić nośność kur, kupuję sprawdzone karmy, do tego, aby same nie dziobały swoich zniesionych jaj, kupuję np. specjalne mieszanki mielonych muszli, które dają wapń i inne mikroelementy. Człowiek w proszku, aby trochę powalczyć z pasożytem, który może się przypałać, też podaję. Trzeba pamiętać o wodzie, bo kurki ciągle coś podpijają, więc nie może zamarznąć nawet w największe mrozy. Poza tym należy zapewnić dobre wyścielenie, zwłaszcza zimą, by zapewnić im odpowiednią temperaturę.

Widziałem, że zbudowałeś dla nich kilka fajnych rozwiązań...

Z powodu pracy, jaką wykonuję, nie zawsze mogę je rano wypuścić i wieczorem zagonić więc mają smart drzwi.

Smart drzwi?

(Śmiech - dop. red.) tak, specjalne roletki sterowane przez wifi prosto z mojego telefonu. Mogę je zdalnie otworzyć, zamknąć lub ustawić czasowe otwieranie /zamykanie. Daje to dużo swobody. Nie muszę kończyć grilla u znajomych, bo muszę moje dziewczyny zagonić do domu, tylko kli-

kam i samo się robi. Podobnie można też sterować oświetleniem. W okresie zimowym polecam wydłużyć czas dnia, czyli zapalać kurkom światło wcześniej niż wstaje słońce i po zachodzie nadal trzymać je włączone przez dwie godziny. To daje im stabilność rytmu znoszenia jajek. Jeśli ktoś ma kurnik, jak ja, w zasięgu sieci domowej, to oświetlenie wifi jest świetnym rozwiązaniem.

Masz jeszcze jakieś sugestie i podpowiedzi dla Czytelników, którzy chcieliby założyć swój kurnik?

Jak ktoś ma miejsce i umiejętności, to może sam zmontować gniazda. Najlepiej takie, gdzie po pochyłej lekko podłodze jajka będą się turlać w niedostępne miejsce dla kur, żeby uchronić zbiory przed celowym zniszczeniem przez kury. Reszta wyjdzie w praniu. To dobra zabawa!

Piotrek prosił o anonimowość, bo „tyle tych formalności i możliwych obostrzeń przy kurnikach, że zawsze ktoś znajdzie, by się przyczepić”. Zapewniamy, że dba o kurki i nikomu one nie przeszkadzają.

22 miliony złotych dotacji na stadion lekkoatletyczny

Eliza Gniewek-Juszczak
Zielona Góra

Na nowych trybunach zasiądzie około trzy tysiące kibiców. Będzie bieżnia na osiem torów, rzutnie do kuli, dysku i oszczepu, w sam raz na zawody o randze krajowej czy europejskiej.

- To dla mnie zaszczyt i niesamowita frajda przyjechać do Zielonej Góry - podkreślił minister sportu i turystyki Jakub Rutnicki i zapewnił, że chwila przekazania dofinansowania na rozbudowę i przebudowę zielonogórskiego stadionu jest historyczna. To jedno z największych uzyskanych przez miasto dofinansowań na sport w mieście.

W najbliższym czasie ma być ogłoszona procedura, która wyłoni projektanta, a następnie kolejna do wyłonienia wykonawcy. Realizacja robót budowlanych ma odbywać się w taki sposób, aby nie przeszkodzić w aktywności sportowej Zielonogórczan.

- Budujemy zastępcze obiekty, m.in. w Drzonkowie



Minister sportu Jakub Rutnicki i prezydent Zielonej Góry Marcin Pabierowski w otoczeniu polityków

bieżnię, doposażamy też inne szkoły w infrastrukturę zewnętrzną. Budujemy dwie hale w systemie Olimpia, zabezpieczamy ten trudny okres, aby zawodnicy zielonogórskich klubów lekkoatletycznych oraz dzieci i młodzież, która uprawia tę dziedzinę sportu mogli to robić - mówił prezydent Marcin Pabierowski.

Po remoncie i przebudowie na stadionie będzie osiem to-

rów do biegu. Będzie nowe oświetlenie, dwa niezależne wejścia. Poza stadionem znajdują się bieżnie rozgrzewkowe i bieżnie dla zawodników trenujących rzuty. Powstanie budynek klubowy, który pomieści zaplecze dla trenerów.

Szczegółowe projekty wykażą realny koszt inwestycji.

- Dołożymy drugie tyle, ile dostaliśmy z ministerstwa. Je-

steśmy na to przygotowani - zapewnił prezydent.

Pieniądze dla Zielonej Góry pochodzą z „Programu inwestycji o szczególnym znaczeniu dla sportu, edycja 2025”. To strategiczny projekt, do którego inwestycje dobierane są pod kątem ponadregionalnego rozwoju dyscyplin sportowych. Minister sportu przyznał, że lekkoatletyka dla Zielonej Góry jest bardzo ważna.

- Tu są kluby, jest energia i chęć. Inwestycja w sport jest inwestycją w zdrowie dzieci nas wszystkich. Jestem bardzo dumny z tego, że zachodnia część Polski też ma wsparcie - powiedział minister. Jakub Rutnicki dodał też, że wierzy, że igrzyska w Polsce są możliwe. Marszałek Sebastian Ciemnoczołowski w trakcie konferencji przypomniał, że województwo chce brać udział w takim wydarzeniu, stąd konieczność przygotowania nowoczesnych obiektów sportowych.

Stadion ma być ogólnodostępny dla mieszkańców, którzy do tej pory tutaj aktywnie spędzali czas.

TRIDUUM PASCHALNE



FOT. JAROSŁAW MIŁKOWSKI

Dziś Wielki Piątek. Zgodnie z wieloletnią tradycją po wieczornej Liturgii Męki Pańskiej w katedrze (początek o 18.00) ulicami centrum miasta przejdzie Droga Krzyżowa. Rozpocznie się ona nie wcześniej jak o 20.00. Wierni przejdą ulicami: Sikorskiego, Dzieci Wrześnińskich, Zabytkową, Hawelańską, Dąbrowskiego, 30 Stycznia i Drzymały. Droga Krzyżowa zakończy się przy obelisku w okolicy amfiteatru.

Biskupi będą przewodniczyć wielkopiątkowym nabożeństwom w kościele NMP Matki Kościoła Kostrzynie (18.00, bp Tadeusz Lityński) oraz w kościele św. Jadwigi Śląskiej w Krośnie Odrzańskim (19.00, bp Adriat Put). Jutrzejszej Wigilii Paschalnej bp Lityński będzie przewodniczył w kościele Wniebowzięcia NMP w Żaganii (20.00), a bp Put w katedrze w Gorzowie (20.30), gdzie w niedzielę o 6.00 odprawi on mszę rezurekcyjną. Bp Lityński zrobi to natomiast w kościele Wniebowzięcia NMP w Żarach.

Jarosław Miłkowski

REKLAMA

0011496434

Z okazji zbliżających się Świąt Wielkiej Nocy

składam Państwu najserdeczniejsze życzenia spokoju i radości. Niech te wyjątkowe dni będą czasem wytchnienia i refleksji nad tym, co w życiu najważniejsze:

nad siłą rodziny, wzajemną życzliwością, a także nad pokojem i bezpieczeństwem, których tak bardzo dziś potrzebujemy.

Życzę Państwu, aby spotkania przy wielkanocnym stole umacniały rodzinne więzi, przynosiły wiele ciepła i radości oraz pozwalały pielęgnować piękne polskie tradycje.

W imieniu własnym oraz całej administracji rządowej województwa lubuskiego życzę Państwu spokojnych Świąt Zmartwychwstania Pańskiego.

Wesołego Alleluja!



Marek Cebula



WOJEWODA LUBUSKI



Autor: Kacper Kubicki (6 lat), Miejskie Przedszkole nr 37 „Pozytywka” w Zielonej Górze, I miejsce w Konkursie na Kartkę Wielkanocną

Do centrum miasta wróci synagoga

Eliza Gniewek-Juszczak
Zielona Góra

Świątynia, która stała w centrum miasta została poświęcona 19 kwietnia 1883 r. Zdobila miasto przez pół wieku aż do Kryształowej Nocy. Niedługo, po 88 rocznicy jej spalenia, obiekt wróci w formie makiety z brązu.

Projekt „Odzyskujemy zapomniane miejsca w mieście. Makieta Synagogi” uzyskał 304 głosy podczas ubiegłorocznego wyboru inwestycji do wsparcia z budżetu obywatelskiego Zielonej Góry. Przyznana kwota to 105 500 zł. We wtorek, 31 marca w urzędzie miasta otwarto dwie oferty, które wpłynęły od firm potencjalnie zainteresowanych realizacją zadania. Jedna mieści się w założonej kwocie. Trwa analiza złożonej dokumentacji.

Autor wniosku Mirosław Krzyżaniak cieszy się, że pomysł zdobył uznanie mieszkańców i zbliża się realizacja. Zielonogórczanin interesuje się historią miasta i angażuje w jej promowanie.

- Zielonogórska synagoga zbudowana w latach 1882-1883



Synagoga

FOT. ZBIORY MUZEUM ZIEMI LUBUSKIEJ W ZIELONEJ GÓRZE

Obecnie w miejscu dawnej synagogi stoi Filharmonia Zielonogórska

według projektu Gidona Weinerta to cenny obiekt architektoniczny. Została uroczystie otwarta 19 kwietnia, a spalona przez bojówki hitlerowskie podczas nocy kryształowej z 9 na 10 listopada 1938 roku. To ciekawy obiekt i kawałek lokalnej histo-

rii, która od lat jest zapomniana i często pomijana - napisał M. Krzyżaniak we wniosku do budżetu obywatelskiego. W dokumencie przypomniał, że budynek nie został odbudowany, a w jego miejscu wzniesiono Filharmonię Zielonogórską.

- Mimo iż w tym miejscu stoi dziś pamiątkowy kamień, większość mieszkańców Zielonej Góry nie wie, iż kiedyś w tym miejscu stał inny budynek. Budynek nie tylko ciekawy pod względem kulturowym, i historycznym, ale też czysto

architektonicznym. Wszak mimo swojej prostoty obiekt ten miał swój wyjątkowy klimat i kształt. Był wyjątkowy na tle innych budynków w mieście i ze względu na przeznaczenie i ze względu na obecność detali zewnętrznych widocznymi na starych fotografiach i w opracowaniach - argumentował.

Przy okazji wspomnień o tym miejscu, przypomina się często słowa ówczesnego burmistrza miasta Josepha Fluthgrafta, który pisał, że „wewnętrzny i zewnętrzny wystrój tej budowli czyni miejsce, w którym ona stoi, jednym z piękniejszych w naszym mieście”. Główne pomieszczenie oświetlały dwa potężne żyrandole w kształcie korony i kinikiety gazowe. W środku było 350 miejsc siedzących. Wysokość wewnętrzna wynosiła 10 metrów. Synagoga przetrwała w dawnej Zielonej Górze pół wieku. W Noc Kryształową w całość Niemczech zniszczono 267 synagog, 815 sklepów, 29 domów towarowych.

Powstanie realistyczna makieta wraz z postumentem granitowym o wysokości około 80 cm. Ma być też tablica informacyjna w języku polskim i w alfa-

becie Braille'a. - Bardzo mi zależy na opisie możliwym do odczytania przez osoby niewidzące, żeby mogły przeczytać historię, dotknąć i wyobrazić sobie, jak wszystko wyglądało - mówi wnioskodawca.

Planowane jest oświetlenie makiety, aby zwracało uwagę przechodniów i umożliwiło oglądanie po zmroku. Na wykonanie projektu, badania architektoniczne, uzyskanie niezbędnych zgód i pozwoleń oraz wykonanie modelu 3D wraz z uzyskaniem akceptacji określono 20 tygodni od daty podpisania umowy, a na wykonanie makiety wraz z postumentem - 12 tygodni od dnia przekazania terenu.

- Jest duża nadzieja, że powstanie wniosek na podobny, kolejny taki obiekt w mieście i zostanie złożony do najbliższego budżetu obywatelskiego - zdradza Krzyżaniak.

Zielonogórska synagoga została spalona przez bojówki hitlerowskie podczas nocy kryształowej z 9 na 10 listopada 1938 roku

REKLAMA

0011497415



BUDOWA DOMÓW ENERGOOSZCZĘDNYCH

Marzysz o własnym, przytulnym domu?
Szukasz idealnego projektu dla swojej rodziny?
Nie mogłeś lepiej trafić!

TYLKO Z FIRMĄ MAJ-HAUS CENTRUM BUDOWNICTWA PASYWNEGO WYBUDUJESZ DOM, KTÓRY SPEŁNI TWOJE OCZEKIWANIA

Umów się na niezobowiązujące spotkanie
Poznaj technologię budowy
Zapytaj o promocję dla Twojego domu

WYJĄTKOWE OFERTY CZEKAJĄ NA CIEBIE

Życzenia Zdrowych,
Spokojnych,
Pełnych Rodzinnego
Ciepła i Radości
Świąt Wielkanocnych

składa
Firma Maj-Haus

📍 Rzepin, ul. Bolesława Prusa 20 ☎ 506 119 419 lub 733 588 888 🌐 www.domy-majhaus.pl

Gorzowski zespół zbiera na płytę z filharmonikami

Jarosław Miłkowski
jmiłkowski@gazetalubuska.pl

Zespół Nowonarodzeni i Orkiestra Filharmonii Gorzowskiej chcą nagrać i wydać płytę. Muzycy liczą, że pomogą im w tym mieszkańcy. Potrzebują bowiem uzbierać 80 tys. złotych.

To jedna z muzycznych wizytówek Gorzowa. Zespół, który działa od ośmiu lat, tworzą muzycy zawodowi oraz amatorzy.

Od 2020 r., zawsze około 15 sierpnia Nowonarodzeni występują w ramach Dobry Wieczór Gorzów. Przy okazji uroczystości Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny zapraszają do wspólnego śpiewania znanych gości - występowali m.in. z Tomaszem Budzyńskim czy Dariuszem Malejkiem - i w ten sposób ewangelizują Gorzowian na Starym Rynku.

Zespół możecie znać też choćby z gorzowskiego Orszaku Trzech Króli czy kolędowania w świątyniach. 4 stycznia grupa dała koncert z Orkiestrą Filharmonii Gorzowskiej.



Grupa zagrała z Orkiestrą Filharmonii Gorzowskiej 4 stycznia. Teraz chcą razem wydać płytę

I właśnie z nią jedenastu muzyków, bo tylu jest aktualnie w składzie, chce nagrać wspólną płytę.

- Na co dzień filharmonicy w garniturach grają Brahmsa, ale tym razem wskakują w dżinsy i wykonujemy aranżacje z Betlejem - mówi Anita Bohdanowicz, która w Nowonarodzonych gra na gitarze.

Aranżacje napisała Anna Maria Huszcza, młoda kompo-

zytorka, która pomysł muzyków, pomieszała z tym, co czuje w sercu i wyszło z tego coś, co brzmi jak z czasów Chrystusa.

- Już to graliśmy. Na żywo, z orkiestrą, w sali filharmonii. Ludzie się śmiali, płakali. Ktoś nawet krzyknął: „Gloria!” zamiast „Brawo!”. Było prawdziwie. Teraz chcemy to nagrać - mówi gitarzystka zespołu.

Płyta ma być profesjonalna. A to już jednak trochę kosztuje.

Trzeba zapłacić za studio, za mikrofony czy przyjazd sekcji dętej. Do tego za mastering, produkcję płyty czy opłacenie praw autorskich. Łącznie wychodzi około 80 tysięcy złotych.

- Nie ma zbędnych luksusów - tylko to, co potrzebne, żeby płyta wyszła profesjonalnie i z sercem - mówi Anita.

Swoją pierwszą płytę Nowonarodzeni chcą wydać na zasadzie crowdfundingu, przy wsparciu fanów i mieszkańców.

- Tylko, że to nie jest „pomóżcie nam”, ale „zróbmy to razem”. Bo ta płyta nie jest tylko nasza. To wspólne marzenie - mówi gitarzystka. Wraz z całym zespołem wierzy, że to się uda.

Takie wsparcie społeczne w świecie muzycznym nie jest niczym nowym. W taki sposób wydanie niektórych ze swoich płyt finansowały nawet znane zespoły jak TLC czy De La Soul. Zbiórka znajduje się na zrzutka.pl. Wystarczy wpisać „Gorzowskie Betlejem”.

Jak dotąd grupę wsparło już kilkadziesiąt osób, które wpłaciły łącznie ponad 5 tys. zł.

WIELKANOCNA ZABAWA



FOT. JACEK KATOS

Na deptaku w Zielonej Górze w czwartek odbyło się Wielkie Szukanie Wielkanocnego Zajączka. W rolę detektywów wcieliły się dzieci z zielonogórskich przedszkoli, ale także te, które na co dzień nie uczęszczają do tych placówek. Szczęście uśmiechnęło się do milusińskich z Miejskiego Przedszkola nr 17, bo to oni odnaleźli zajączka. Ale wszystkie dzieci namierzyły świąteczne jajka w specjalnych gniazdkach. Wydarzenie zorganizowała honorowa obywatelka miasta Eleonora Szymkowiak, prezeska Stowarzyszenia Ludzie dla Ludzi. Mecenat Złotego Serca. Słodkości rozdawał wiceprezydent Marek Kamiński. Nie brakowało piosenek, nauki przygotowania świątecznego koszyczka. Dodatkową atrakcją były alpaki, które na co dzień mieszkają w siedzibie Fundacji Arka.

Leszek Kalinowski

REKLAMA

0011498517



Lubuskie
Warte zachodu

Z okazji Świąt Wielkanocnych składam Państwu serdeczne życzenia spokoju, nadziei i wiosennej energii.

Niech ten wyjątkowy czas przyniesie wytchnienie, radość oraz siłę do realizacji planów.

Wesołych Świąt Wielkanocnych!

Sebastian Ciemnoczołowski

Marszałek Województwa Lubuskiego



MŁODE WILKI GRYZĄ STARE? TRWA WYMIANA LUDZI PSL NA WYSOKICH STANOWISKACH

Odchodzący z kierowniczych stanowisk starsi działacze Polskiego Stronnictwa Ludowego mówią, że wygryzły ich młode wilki. – Mnie też ktoś kiedyś dał szansę – przypomina szef lubuskiego PSL Łukasz Porycki

Eliza Gniwewek-Juszczak

o tym jak w październiku ubiegłego roku wybory przewodniczącego lubuskiego regionu PSL przegrał poseł Stanisław Tomczyszyn (rocznik 1959), a wygrał Łukasz Porycki (rocznik 1982), ruszyły zmiany kadrowe na czołowych stanowiskach instytucji, które zgodnie z umowami koalicyjnymi nadzoruje PSL. Zmiany wywołały sporo emocji u osób odwołanych.

Kadrowe roszady

Najpierw Łukasz Porycki wrócił do zarządu województwa lubuskiego na stanowisko członka. Zajął miejsce Jacka Urbańskiego, który wprawdzie był urlopowany ze stanowiska dyrektora Lubuskiego Centrum Produktu Regionalnego, ale tam nie wrócił – jest na zwolnieniu lekarskim. Również w październiku Katarzyna Wojciechowska zastąpiła Leszka Kaźmierczaka-Piwko na stanowisku zastępcy dyrektora oddziału Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, a miejsce zastępcy dyrektora Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa, które zajmował Jerzy Raczynski, zajął Bartłomiej Kobiernik. W grudniu Wojciech Kozieja przestał być dyrektorem Zarządu Zlewni w Zielonej Górze. To miejsce zajął Andrzej Ziarek, który przeszedł ze stanowiska dyrektora departamentu infrastruktury społecznej w urzędzie marszałkowskim. Jego stanowisko w urzędzie zajęła Tatiana Janiak. Andrzej Gembara, dotychczasowy dyrektor oddziału KRUS w Zielonej Górze, został zastępcą powołanego w jego miejsce Romana Bajora. Jarosław Jaszczuk przestał być kierownikiem wydziału w departamencie rolnictwa w urzędzie marszałkowskim. A Mariusz Woźniak stracił stanowisko wicedyrektora Lubuskiego Teatru – na to miejsce powołana została Elżbieta Pastyrzyk.

Zaczęli zniknąć ludzie ze zdjęć

– Wchodzi ekipa młodych wilków – ocenia jedna z osób, która straciła stanowisko. – Ludzie od Tomczyszyna siedzą w strachu skuleni, bo nie wiedzą, co dalej będzie – chodzi o to, aby pozbyć się osób podejrzanych o współpracę z nim – stwierdza.

Inna z osób, która też straciła stanowisko, tak opisuje to, co się stało: Przyczyną mogą być tylko domniemywać. Ale było takie spotkanie przed wyborami, które zakończyło się wspólnym zdjęciem opublikowanym na profilu posła Tomczyszyna. Po wyborach niektóre osoby z tego zdjęcia zaczęły zniknąć z pewnych stanowisk. W kulisach dowiedziałem się, że jestem na liście.

Od kolejnego odwołanego dyrektora słyszymy, że „nowy

przewodniczący obiecywał zakopać podziaty, a te podziaty tylko się pogłębiły, gdyż wyrzuca się z pracy i degradowuje ludzi, którzy popierali posła Tomczyszyna”.

Następny dyrektor nie chce komentować, jak sam mówi, „fali partyjnej”.

– Przykre jest to, że tak traktuje się ludzi, którzy wiele lat życia poświęcili pracy dla PSL-u. Ten kierunek nowych władz jest zupełnie niezrozumiały i niesprawiedliwy, gdyż przewodniczący zarzekał się i zaprzeczał jakimkolwiek czystkom, a dzieje się zupełnie inaczej – twierdzi inny odwołany. Na architekta rozliczeń wskazuje sekretarza PSL-u Arkadiusza Dąbrowskiego.

Rekonstrukcja jak w rządzie?

Arkadiusz Dąbrowski przy czynny roszad kadrowych widzi w potrzebie wdrożenia nowych pomysłów, konieczności zmian organizacyjnych, które mają przygotować region do wyborów parlamentarnych i samorządowych.

– Nie ma absolutnie żadnej innej przyczyny, która mogłaby powodować zmiany personalne, a już absolutnie nie chodzi o względy osobowościowe. Nie doszukiwałbym się w tym żadnych złośliwości – zapewnia.

Kiedy zwracamy uwagę, że z rozmów z działaczami wynika, jakoby to właśnie Dąbrowski miał być twórcą „czarnej listy” dyrektorów do wymiany, stwierdza ze śmiechem, że chciałby mieć takie wpływy, jakie mu niektórzy przypisują. Wyjaśnia, że zmiany personalne w różnych instytucjach następują podobnie do tych związanych z rekonstrukcją rządu, wywołanych zmianami u koalicjanta.

Inna „czarna lista”

Dąbrowski zwraca uwagę, że wcześniej, kiedy trwała jeszcze gorączka wyborcza przed wyborami prezesa, była inna lista.

– Mam odwagę o tym powiedzieć – mówi. I wymienia, kto miał na niej być, m.in. właśnie on sam – był wówczas członkiem zarządu Zielonogórskiego Rynku Rolno-Towarowego – a także Łukasz Porycki – wtedy dyrektor oddziału Agencji Mięsa Wojskowego, Adam Misiaszek, lubuski wojewódzki inspektor jakości handlowej artykułów rolno-spożywczych, i Przemysław Osincki, dyrektor lubuskiego oddziału ARIMR. Dąbrowski ujawnia, że te osoby miały stracić pracę jako pierwsze, za niełojalność. Miały być przymiarki nowych nazwisk do tych stanowisk. Działacze mieli słyszeć, że na 40-50-latków jeszcze przyjdzie czas.

Zdaniem sekretarza PSL-u za przesury Stanisława Tomczyszyna wystarczyło go chwalić, żeby dostać posadę. – Stanowiska otrzymywali też ludzie skompromitowani. W ich różnych późniejszych działaniach okazywało się, że są nieprzygotowani do pełnienia swoich funkcji. O aktualnych zmianach powiedziałbym, że na pewno są dobre. Trudno mi się doszukać osoby, która nie jest przygotowana. Nasze pokolenie ma

znacznie wyższe standardy niż pokolenie posła Tomczyszyna – stwierdza.

Naturalne zmiany

Inny działacz na stanowisku przypomina, że świat nie jest idealny.

– Kiedy jedni osiągają wiek emerytalny, do głosu dochodzą młodszy. Są doceniani, a starsi mogą czuć się rozczarowani. Premier też dobiera sobie ludzi do pracy, to jego prawo. Jeden przegrał, drugi wygrał, na tym polega demokracja – wyjaśnia. A na powody przegranej posła wskazuje otoczenie się przez niego ludźmi dawnej Lewicy.

– Jeszcze dwa lata temu był taki, można powiedzieć, jowialny. Byliśmy z niego dumni – chwali. – Ale dobrał sobie złych doradców – stwierdza.

– Każdy będzie sobie dobierał ludzi, z którymi będzie chciał współpracować. To naturalne, że takie rzeczy się dzieją i pewnie w innych organizacjach też będą się działy – słyszymy od innego wysoko postawionego działacza PSL. – Osoby, które przeszły na emeryturę, nie były zwalniane, podobnie te, którym nie przedłużano umów, a jeszcze inne zo-

stały przesunięte do innych działań – zwraca uwagę.

Dr Piotr Pochyły, politolog z Uniwersytetu Zielonogórskiego, potwierdza, że wymiany kadr są w polskiej perspektywie akceptowane społecznie. – Często ze zmianą lidera, szczególnie kiedy poprzednik bardzo długo sprawował swoją władzę, dochodzi do zmian personalnych. Jest to akceptowane i normalne zachowanie, że liderzy często szukają osób, które albo pomagały im w kampanii, albo są ważne dla nowego modelu rządzenia. Bardzo często te zmiany argumentowane są w ten sposób, czy to wewnętrznie na potrzeby partii, koalicji, czy na potrzeby zewnętrzne – komentuje temat Piotr Pochyły.

Za nikogo się nie wstydzę

– Ludzie pracują. Nie ma tak, że jest ekipa Tomczyszyna czy kogokolwiek – twierdzi poseł Stanisław Tomczyszyn. I zastrzega, że kiedy rekomendował ludzi na różne stanowiska, to uważał, że mają kompetencje. Zapewnia, że za nikogo się nie wstydzę.

– Dobór ministrów to inna rzecz. Jeśli zmiany dotyczą dyrektorów, wicedyrektorów, to tego nie rozumiem. W administracji trzeba mieć pewną ciągłość, żeby móc tych ludzi przygotować do stanowisk, żeby pełnili określone funkcje itd. Jeśli wchodzi inni, nieprzygotowani, to nie jest dobre – stwierdza. – Trzeba ewolucyjnie wprowadzać ludzi do pracy. Każdy pracownik powinien od podinspektora na inspektora awansować. Taka była moja filozofia pracy. Jeśli ja miałem jakiś wpływ na współpracowników, to takie awanse były czynione. Jeśli ktoś czyni awanse zbyt pochopnie, może popełnić błędy. Nie oceniam tego. Po efektach pracy zobaczymy, które rozumowanie jest właściwsze – zapowiada.

Na pytanie, czy docierają do niego głosy tych, którzy stracili stanowiska, odpowiada, że rozumiałe są przejścia na emeryturę i przesunięcia na inne stanowiska. – Ale jeśli ktoś jest wyrzucany, mam na myśli Jacka Urbańskiego, to jest to przykład zły i karygodny – stwierdza Tomczyszyn.

Porycki oczekuje dynamicznej pracy

– Nie pochodziłbym do tego w ten sposób, że dochodzi do jakichś czystek. Jestem osobą bardzo aktywną i dynamiczną i tego samego oczekuję od swoich współpracowników – bardzo dynamicznej pracy. Taką pracę gwarantują zmiany, o których pani wspomina. Osoby, które mają zagwarantowane świadczenia emerytalne, mogą zajmować już mniej eksponowane stanowiska. Tak jak kiedyś ktoś dał mi szansę, ja daję szansę ludziom nie tylko młodym, ale już doświadczonym. To gwarantuje nam sukces, jeśli chodzi o moją politykę. Były stanowiska, które wymagały pewnej roszady po to, aby wszystko lepiej funkcjonowało według mojego uznania, bo ja za to odbiorę odpowiedzialność – zapewnia.

Jest przekonany, że wie, co trzeba zrobić. Organizuje otwarte spotkania z mieszkańcami i stawia na dynamikę w instytucjach, za które jego partia odpowiada.

– PSL ma dobre, skuteczne kadry. Obserwując z boku, z funkcji dyrektora Agencji Mięsa Wojskowego, widziałem pewne niedociągnięcia. Po wygranych wyborach na szefa partii i powrocie do zarządu województwa uważam, że te zmiany mają spowodować to, że wyjdziemy z nową dynamiką. Szykujemy się do wyborów parlamentarnych w 2027 roku – zapowiada Porycki.

Artykuł powstał przez kilka tygodni. Według zaniepokojonych zmianami działaczy PSL mogą one dotyczyć jeszcze trzech czy nawet pięciu dyrektorów lub ich zastępców. Przepakowują cztery nazwiska zaczynają się na literę „K”...



Konferencję prasową działaczy PSL z daleka obserwuje Anna Chinalska, członek zarządu województwa z rekomendacji Stanisława Tomczyszyna

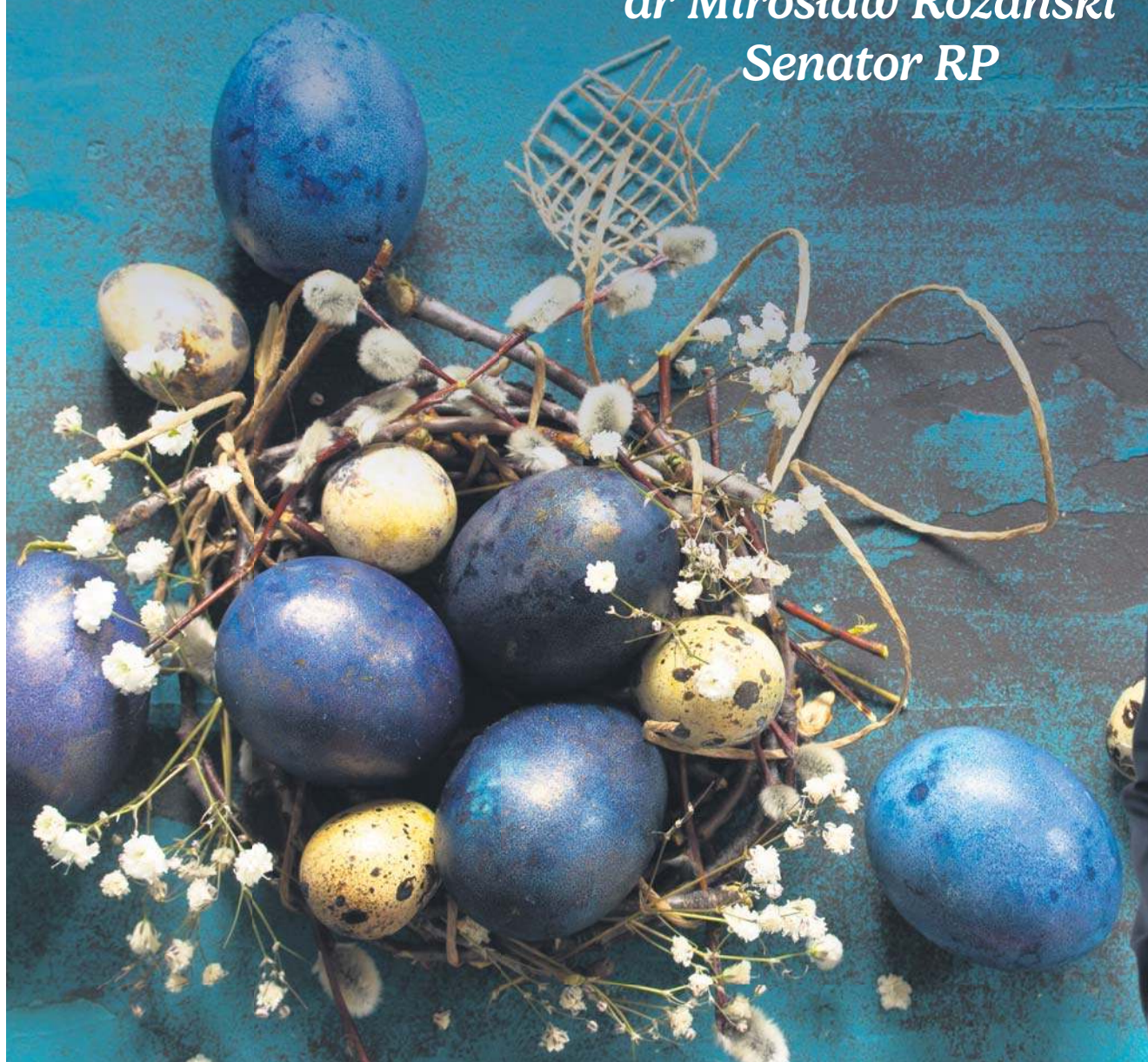
FOT. ELIZA GNIWEK-JUSZCZAK

*Zdrowych, pogodnych
Świąt Wielkanocnych,
pełnych wiary, nadziei i miłości.*

*Radosnego, wiosennego nastroju,
serdecznych spotkań w gronie rodziny
i wśród przyjaciół
oraz wesołego Alleluja*

życzy

*dr Mirosław Rózański
Senator RP*



**Biuro Senatorskie:
ul. gen. W. Sikorskiego 4 lok. 214, 65-454 Zielona Góra**

W POSZUKIWANIU UTRACONYCH SMAKÓW

Zapytaliśmy Czytelników o legendarne smaki Zielonej Góry. Kultowe są nie tylko lody od nieodżałowanego Pana Henryka i zapiekanka z Czerwonej Budki. W pamięci zielonogórczan są frytki ze świeżych ziemniaków, gorący, okrągły chleb, pierwsze biedahamburgery i wiele innych.

- Wtedy wszystko miało inny smak – stwierdza nasza Czytelniczka.
Co na to dietetyk i psycholog?

Eliza Gniewek-Juszczak

Pani Asia przypomniała o najlepszych frytkach przy Domu Handlowym w Zielonej Górze. Szybko okazało się, że przez 20 lat sprzedawała je mama pani Beaty.

- Surówkę też mama zawsze robiła sama. Jak miło, że to pamiętacie. Byłoby jej strasznie miło - napisała. Dodała, że frytki były robione ze świeżych ziemniaków. - Same obierałyśmy te ziemniaki - wspomniła.

Pani Anna na te frytki chodziła ze swoją mamą.

- Boziu, ale czad. W domu też robię z prawdziwych ziemniaków, ale tamtych frytek nie da się zapomnieć. Pamiętam panią, która je sprzedawała. Była bardzo miłą i serdeczną osobą - podkreśliła.

- Co się stało z tymi pysznymi frytkami? Dzisiejsze to zupełnie co innego, w ogóle nie przypominają tych dawnych. Tak jakby trochę sztuczne były - skomentował jeden z internautów.

Po kurczaki z różną chodzą się do Sławka przy dawnym Hermesie. - To były najlepsze kurczaki - podkreślił jeden z mieszkańców.

- Kurczak z różną na targu „Pod Rurami” był przepyszny. Nigdy potem już takiego nie jadłem - dodał pan Zbigniew.

Przypomniano też o zapiekankach u Alfa koło dworca oraz knyszy i burgerze z budki koło dworca. Dla pani Danuty trochę sztuczne były - skomentowała kaszka manna z sokiem w Ba-

rze Mlecznym na Placu Lenina (obecnie Plac Pocztowy). Pamięta, że kosztowała wtedy 1,05 zł.

Pani Asia pamięta też, że pierwsze hamburgery kupowało się naprzeciwko Lubuskiego Teatru.

- Biedaburger był boski - ocenił pan Paweł.

Z baru i ze sklepu

Uznaniem cieszyli się i cieszą nadal dania z kuchni domowej. Internauci wymienili nale-

śniki w barze mlecznym Piast w Mrowisku albo w Turyście przy stacji kolejowej. Inny Czytelnik miło wspomina pierogi z Turysty, a kolejna osoba podkreśla, że wszystko było i jest pyszne z baru Piast. Oba te bary istnieją i cieszą się zainteresowaniem. Starszy Piast działa od 1976 r. Pani Wiesława przypomniała naleśniki i kompot w barze mlecznym niedaleko dworca PKP.

- Przy tej ulicy, co szło się do centrum, to było w latach

1979 - 1980 - napisała. A ktoś zaraz podpowiedział, że to był Bar Plastuś.

- Rogalik z masłem i kakao w barze Plastuś... Poproszę o maszynę czasu - dodał pan Paweł.

Zielonogórczanki wspominały też bułki ze słonecznikiem i sezamem, które można było kupić w Hermesie.

O tostach z pieczarkami na przystanku „Elżbietanki” w latach 80. przypominała pani Anna.

- Te tosty były super niestety dawno ich już nie ma. Do tej pory, czasem próbuję odtworzyć ten smak w domu, ale się nie da. Tylko pikantne wychodzą, bez tej głębi smaku - zdradził pan Krzysztof.

O tostach z pieczarkami obok ówczesnego Kreślarsza przypominała pani Marta.

- Bułki na gorąco z pieczarkami. Pyszne były - czytamy w innym komentarzu.

- Bułki z makiem z dużej blachy „odrywane”. Pierwsza piekarnia Rzepka na Srebrnej Górze - wspomniła pani Zofia.

Wspominano też chleb od Rzepki z pl. Pocztowego, bagietki od Męczybuły i chleb od Marca.

- Chleb od Rzepki taki miły okrągły, cieplutki - przypominała pani Monika. - Dokładnie ten, oj tak, ale żęmy się na przerwie tym gorącym

REKLAMA

0011497936

MATERIAL INFORMACYJNY ZCK

0011502313

Wesołych Świąt Wielkanocnych

Pełnych spokoju i radości Świąt Wielkanocnych, wielu ciepłych i radosnych spotkań z najbliższymi, wiosennej pogody ducha oraz optymizmu, energii i nadziei na lepszą przyszłość życzą

Robert Paluch
Przewodniczący Zarządu CZG-12

Dariusz Ejchart
Przewodniczący Zgromadzenia CZG-12

CZG12
Celowy Związek Gmin

WIOSNA JAZZOWA ZAKOPANE 2026

NADA RYTM TEGOROCZNEJ MAJÓWCE POD TATRAMI! 1-3 maja 2026

Trzy dni, największe gwiazdy i wyjątkowa atmosfera pod Tatrami - Wiosna Jazzowa Zakopane powraca w nowej, intensywnej formule.

Bilety są już w sprzedaży.

To jeden z najważniejszych festiwali jazzowych w Polsce i rozpoznawalna marka w Europie Środkowej, od lat obecna w ramach United Europe Jazz Festival. Wiosna Jazzowa łączy pokolenia, prezentuje szeroką paletę stylistyczną i konsekwentnie buduje swoją pozycję dzięki najwyższemu poziomowi artystycznemu oraz obecności największych nazwisk sceny muzycznej.

Tegoroczna edycja to skondensowana, trzydniowa formuła pełna gwiazd i wyjątkowych muzycznych spotkań. **1 maja** na rozpoczęcie muzycznego

„setu” na scenie wystąpią zwycięzcy tegorocznej edycji konkursu na „Jazzowe Talenty” - Szymon Chołomiej Kwartet, tuż po nim posłuchamy koncertu poświęconego Jerzemu „Dudusiowi” Matuszkiewiczowi w wykonaniu Kwartetu Andrzeja Jagodzińskiego i Agnieszki Wilczyńskiej. Finałem dnia będzie występ Leszka Możdżera - jednego z najwybitniejszych polskich pianistów, który zaprezentuje program oparty na twórczości największych polskich kompozytorów.

2 maja to „Ladies' Night” - na scenie pojawią się m.in. Paper Moon Trio, amerykańska wokalistka Siggy Davis oraz legenda polskiej sceny - Grażyna Łobaszewska.

3 maja przyniesie finał pełen jazzu, fusion i elektroniki - wystąpią Martin Brunner Trio, Maciej Sikala oraz

kultowy zespół SBB w oryginalnym składzie. Partnerem wydarzenia jest Program 1 Polskiego Radia oraz Radio Kraków, które będą nadawały bezpośrednio z Zakopanego.

Wiosna Jazzowa to nie tylko koncerty, ale także niepowtarzalna atmosfera, piękno Tatr i muzyczne emocje na najwyższym poziomie. Jeśli jazz na szczytach - to tylko w Zakopanem. Bilety dostępne na stronie www.zakopane-sklep.pl Więcej informacji na www.festiwalie.zakopane.pl/wiosna-jazzowa

Wydarzenie dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka”, realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.

22. Wiosna Jazzowa
UNITED EUROPE JAZZ FESTIVAL

1-3 maja 2026
Zakopane, Nosalowy Dwór Resort&Spa
ul. Oswalda Baizera 21 d

organizatorzy

ZAKOPANE
ZAKOPANE CENTRUM KULTURY

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Narodowy Instytut
Muzyki i Tańca

partner główny

MAŁOPOLSKA

partner strategiczny

NOSAŁOWY
HOTELI

chlebkiem zajadali i kefir do tego.

- Pamiętasz te kolejki u Rzepki na przerwie? To były piękne czasy - odpowiedziała pani Anna.

- Wtedy wszystko miało inny smak. Na Drzewnej tam, gdzie pizzeria Roma, był mały sklepik spożywczy, a w nim pyszna czerwona oranżada zamykana na porcelanową zatyczkę za całe 40 groszy - napisała pani Monika.

Dawniej jedliśmy zdrowiej

Na pytanie o to, jak kiedyś jadaliśmy, odpowiada dyplomowana dietetyczka kliniczna Monika Kruszelnicka. Ekspertka pracuje w Szpitalu Uniwersyteckim w Zielonej Górze i na Uniwersytecie Zielonogórskim, prowadzi też własną poradnię. Krótką analizę zaczyna od jakości gleby, która była o wiele lepsza kilkadziesiąt lat temu, kiedy Czytelnicy, którzy wspominali kultowe potrawy, byli dziećmi.

- Gleba była wtedy zupełnie inna. Miała wysoką zawartość minerałów oraz witaminy A. Teraz mamy kwaśne deszcze, stosuje się nawozy i dużą ilość pestycydów - tłumaczy ekspertka. Dodaje, że na takiej glebie rośnie dużo modyfikowanych genetycznie odmian roślin.

- Kiedyś zboża miały małe kłoski, teraz są duże, mają



To zdjęcia sprzed 12 lat. Bar mleczny Piast Zielonogórze nazywają kultowym, a w tym roku obchodzi półwiecze działalności

o 50 procent więcej glutenu. W wędlinach i jogurtach stosowane są różne zagęszczacze pszeniczne. Jesteśmy dużo bardziej narażeni na ekspozycję glutenu - stwierdza wprost.

Dietetyczka przypomina, że wszystkie półprodukty, które kupujemy z lodówek mają dużo różnych dodatków. Kiedyś wędlina była wędzona, a wcześniej moczona w solance. Dzisiaj ma duży dodatek glukozy.

- Gdy kupujemy paczkowane wędliny i spojrzymy na skład, wszędzie mamy cukier. Ta glukoza występuje na 3-4 miejscu. Pamiętajmy, że składniki wymienione do trzeciego miejsca wskazują na dużą zawartość - wyjaśnia ekspertka.

Zwraca też uwagę na to, co w czasach komuny było w sklepach: mleko, masło, margaryna, cukier i mąka. - Nikt nie chodził głodny. Pamię-

tam, bo się wtedy wychowywałam. Nie podjadało się pomiędzy posiłkami. Nie było ulepszczy czy glutaminianu sodu, który jest dodawany przemysłowo, intensyfikuje smak i powoduje że mamy większy apetyt - tłumaczy wzmożoną dziś chęć jedzenia.

O tym, że podejście do jedzenia wciąż się zmienia świadczy też nowa amerykańska piramida żywieniowa ogłoszona na początku 2026 roku.

To radykalna zmiana - odwrócona piramida stawia na białko (mięso, ryby, jaja), zdrowe tłuszcze (oliwa, awokado, orzechy i ziarna) i pełnotłusty nabiał, jednocześnie znacznie ograniczając węglowodany (w tym słodczyce, produkty z białej mąki) a jedynie uwzględniając niewielkie ilości produktów pełnoziarnistych. Jest postrzegana wśród naukowców jako kontrowersyjna.

Smaki w naszej pamięci

Okazuje się, że zapamiętany smak jest kluczem do naszej przeszłości, pozwala zapomnieć o trudach dnia codziennego. Pewnie dlatego tak chętnie mówimy o ulubionych daniach.

- Potrawy z młodości wspominaliśmy jako pyszne, nie dlatego, że obiektywnie takie były, ale dlatego, że to my byliśmy w zupełnie innym miejscu życia, młodszy, zdrowsi, mniej zmęczeni, bardziej otwarci na różne doświadczenia, w tym kulinarne - wyjaśnia psycholog Kamila Wilczyńska. - One nam przypominają nas samych sprzed lat - podkreśla.

Można się o tym przekonać, odtwarzając smak ulubionej potrawy i częstując nią dzieci. Okazuje się, że niekoniecznie będą tak samo zachwycone, bo nie mają wspomnień związanych z tym daniem i nie po-

dzielią wrażeń rodziców. Psycholożka wyjaśnia, że zdarza się też, że kupiony po latach ulubiony wafelek, nie smakuje tak samo. Można tłumaczyć to zmianą składu.

- Prawda może być jednak bolesna, może to my sami zmieniliśmy się, począwszy od ciała przez wrażliwość. Smak osadzony w naszych emocjach i relacjach, dziś jest po prostu jedzeniem, pozbawionym tej całej otoczki, która miała kluczowe znaczenie - tłumaczy różnicę w postrzeganiu. Wskazuje na przykład tego mechanizmu, znany z literatury. To opisany przez Marcela Prousta smak magdalenki zanurzonej w herbacie z książki "W poszukiwaniu straconego czasu".

- Przywołuje wspomnienia i dzieciństwo. Okazuje się, że nie chodzi o ciastko, ale uczucia i obrazy, które to ciastko symbolizuje i uruchamia - wyjaśnia Wilczyńska. - Pamięć nie działa w taki sposób, jakby to było nagranie. Zapisują się w niej znaczenia i emocje, a nie fakty jako takie. Smak, zapach, miejsce, w jakim byliśmy, to wyzwalacze wspomnień. Kiedy po latach myślimy o tej zapiekance najlepszej na świecie, czy lodach, wraca do nas obraz osób, których wtedy znaliśmy, rozmów, które odbywałyśmy oraz to, jak się wtedy czuliśmy - tłumaczy.

REKLAMA

0011503572



WESOŁYCH ŚWIĄT WIELKANOCNYCH

Spokojnych i pogodnych Świąt Wielkanocnych, pełnych wzajemnej życzliwości i rodzinnego ciepła.
Niech ten wyjątkowy czas przyniesie nadzieję, odpoczynek i doda sił do realizacji wszystkich marzeń.

KIEDY ODCHODZĄ DO NOWYCH DOMÓW JEST MI TRUDNO, ALE NA TYM POLEGA MIŁOŚĆ

Uwielbiam małe dzieci, noworodki, zawsze żałuję, że tak szybko rosną. Jak biorę takie małe dziecko to myślę sobie „komu ja cię oddam, jaki będzie twój los?” - mówi Beata Horzela z Żar, która od lat prowadzi rodzinę zastępczą.

Aleksandra Luczyńska

Panią Beatę spotkałam kilka lat temu podczas dni otwartych dla osób chętnych do stworzenia rodziny zastępczej w PCPR w Żarach. Miała pod opieką dwoje maluchów w wieku niemowlęcym. Już wtedy mówiła, że wkrótce będzie rezygnować z tworzenia rodziny zastępczej. Tak się jednak nie stało.

Kiedy widziałam, z jaką troską zajmuje się dziećmi, byłam pod ogromnym wrażeniem.

Na pierwszy rzut oka było widać, że to właściwa osoba na właściwym miejscu. Zapamiętałam, jak powiedziała, że myśląc o założeniu rodziny zastępczej, nigdy nie powinno brać się pod uwagę kwestii finansowych. Zarobek to dodatek i nie może być priorytetem. Jeśli ktoś chce opiekować się dziećmi z takim bagażem, jaki niosą ze sobą i robić to tylko dla przysłowiowej kasy... to nie ma najmniejszego sensu.

- Nie można absolutnie myśleć tu o pieniądzach, bo

człowiek szybko się wypali. My stworzyliśmy rodzinę zastępczą, gdy nasze dzieci były już duże, najmłodsza córka miała trzynaście lat. Dla nas to było naturalne, my kochamy dzieci, zawsze chcieliśmy mieć dużą rodzinę. Trzeba pamiętać o tym, że te dzieci mają swoich rodziców, z którymi trzeba często współpracować. Dzieci nie są naszą własnością, naszym zadaniem jest opieka, stworzenie im domu - mówiła nam w 2023 roku.

Po kilku latach znowu mamy okazję się spotkać, a pani Beata z mężem Janem wciąż tworzą rodzinę zastępczą. I nadal mają pod opieką dwoje maluchów, chociaż to już inne dzieci. Tamte maluszki sprzed trzech lat mają już nowe rodziny. Taka kolej rzeczy.

Teraz rządzą Wiktoria i Kamilek. Gdy rozmawiamy, dokazują w najlepsze. Dom, w którym mieszkają, jest idealnie przygotowany do opieki nad dziećmi. W kuchni, ni-

czym w twierdzy, mnóstwo zabezpieczeń, blokad, które chronią maluchy przed skaleczeniem, oparzeniem, obiciem, choć jak wiadomo, wszystkiemu nie da się zapobiec. Pokój, w którym bawią się dzieci przypomina trochę salę przedszkolną - jest tu chyba wszystko, czego mogą potrzebować.

Na ścianie w pokoju wisi mnóstwo zdjęć. Na nich same dzieciaki, w różnym wieku i w różnych okolicznościach. Wycieczki, święta, rodzinne

imprezy. Pani Beata zna imiona wszystkich i o każdym mogłaby opowiedzieć historię. Chociaż trudno w to uwierzyć, przez ich dom na przestrzeni wielu lat przewinęło się łącznie czterdzieścioro dzieci. Najczęściej były to maluszki. Często noworodki, które były odbierane przez panią Beatę prosto ze szpitala, tak jak to było z Wiktoria.

Służbowe mieszkanie

Skąd decyzja o tym, żeby swoje życie poświęcić na stworzenie takiego domu, gdy ma się czwórkę swoich dzieci?

- Zawsze chciałam pracować z dziećmi, zawsze dzieci lubiałam. Opiekowałam się nimi, nawet gdy sama byłam jeszcze dzieckiem - podkreśla pani Beata. - Pochodzę z Żar, a mąż z Zabrza na Śląsku. Poznaliśmy się jeszcze na studiach pedagogicznych w Opolu. Po nich wróciłam do Żar, mieszkałam u mojej mamy, a mąż poszedł na rok do wojska. Mieliśmy wtedy już dwojkę dzieci, trzecie było w drodze. Po wojsku mąż dostał pracę - pracował w podstarowce. Po pół roku pojechaliśmy na ferie zimowe do Zabrza w odwiedziny do rodziców męża. Spotkaliśmy koleżankę ze studiów, która pracowała w domu i dziecka i powiedziała, że zwalnia się tam mieszkanie służbowe

REKLAMA

0011500066



STOWARZYSZENIE
„SERCE ZA SERCE”
NA RZECZ UCZNIÓW
ZESPOŁU SZKÓŁ
Im. M. GRZEGORZEWSKIEJ

ul. Spokojna 2
68-200 Żary

tel. 68 470 64 97
www.zss-zary.pl

KRS 0000322913

PODARUJ
1,5% PODATKU

KRS 0000322913

REKLAMA

0011468181



Pomóż nam
pomagać
innym
przekaż
swoje

Ośrodek na Zaciszu

Ośrodek Integracji Społecznej

Stowarzyszenie Ośrodek Integracji Społecznej
www.ois.org.pl
KRS 0000125956

1,5%

jest praca. Nawet się nie zastanawialiśmy - wspomina pani Beata.

Takiej okazji nie można było przepuścić. Dla młodego małżeństwa z małymi dziećmi praca z mieszkaniem służbowym była w tamtych czasach niczym wygrana w lotto. Mieszkanie miało niespełna 50 metrów kwadratowych, trzy pokoje - co najważniejsze, było usytuowane na terenie domu dziecka. Pan Jan zaczął pracować niemal od razu, pani Beata kilka miesięcy później.

Dom dziecka w Zabrze był otwierany jeszcze za Gierka w latach 70-tych. To była ogromna placówka z ponad setką dzieci, duma PRL-owskiej władzy. Wychowankowie trafiali tutaj z różnych powodów.

- Zdarzały się dzieci osierocone, które nie miały bliskiej rodziny, ale głównie trafiały do nas z powodu biedy, przemocy w domu. Bywało też tak, że rodzice sami przyprowadzali dzieci, bo nie mieli nic do jedzenia. Robiło się notatkę, a potem resztę załatwialiśmy w sądzie rodzinnym - wspomina pani Beata. - Kiedyś jeden chłopiec, miał 13 lat, zgłosił się sam, bo twierdził, że źle mu w domu rodzinnym. Miał za dużo obowiązków. Ale po kilku miesiącach stwierdził, że jednak nie chce być w domu dziecka i wrócił do rodziny. Pamiętam też jedną mamę, która przyszła z dziećmi i zostawiła je u nas, bo jej partner był przemocowy. Uciekła od niego. Odwiedzała te dzieci tak często, jak tylko mogła. Spała z nimi w łóżku, a nam to nie przeszkadzało. Widać było, że chce z nimi być. Wyjechała potem do innego miasta, znalazła pracę i zabrała te dzieci z powrotem. To była jedna z niewielu pozytywnych historii - mówi pani Beata.

O każdym z wychowanków domu dziecka można pewnie napisać książkę. Większość miała problemy nauką, ogromne zaległości, często były zaniedbywane wcześniej przez rodziców, których nie interesowało odrabianie lekcji z własnymi dziećmi.

- Był taki chłopiec, którego w szkole uznawano za opóźnionego w rozwoju, bo nic nie umiał. A z nim nikt nigdy nie siedział, nie pomagał mu w odrabianiu lekcji. Wystarczyło o niego zadbać, poświęcić mu czas. Potem skończył szkołę z wyróżnieniem. Jedna dziewczyna skończyła studia. To były jednostkowe przypadki, ale się zdarzały - mówi pani Beata.

Dzieci miały problemy nie tylko w szkole, ale i z policją, zdarzało się, że na sumieniu miały kradzieże, a palenie papierosów u młodocianych to był chleb powszedni.

- Nasze dzieci praktycznie wychowały się z tymi z domu dziecka, nie zamykaliśmy domu dla nikogo, dzieci z domu przychodziły też do nas. W weekendy często przyjeżdżali rodzice, którzy chcieli z nami, rozmawiać bo mąż szybko został dyrektorem. Dla nas to nie był problem, chociaż nie raz zdarzyło się tak, że szykowaliśmy się już na wyjazd, żeby gdzieś odpocząć w sobotę, dzieci gotowe do drogi, a tu przychodzą rodzice z domu dziecka. I trzeba było rozmawiać, ale byliśmy przyzwyczajeni do tego - wspominają. Przez długi czas prowadzili też pogotowie opiekuńcze, do którego dzieci przywożono z nocnych interwencji. Nigdy nie było wiadomo, czy coś się wydarzy.

Życzenie Agatki

Kiedy przeszli na wcześniejszą emeryturę, dzieci były już niemal dorosłe, najmłodsza Agatka miała kilkanaście lat. To ona namawiała rodziców na kolejne dziecko. Przygarnęli wtedy Klaudię, dla której zostali rodziną zastępczą. Potem pojawiały się następne i następne. W jednym czasie najwięcej było ich ośmioro, łącznie przez tyle lat około czterdziestki. Podobnie jak w domu dziecka, dzieci w rodzinie zastępczej przychodziły ze swoimi potrzebami, najróżniejszymi historiami i najczęściej trudną przeszłością. Miały problemy z nauką, często także ze zdrowiem.



Beata Horzela przy zdjęciach swoich byłych wychowanków...



...i z Wiktorią

Kiedyś pani Beata odebrała ze szpitala noworodka, małą Amelkę. Szybko zauważyła, że jedna rączka dziewczynki jest sztywniejsza - trudniej było ją ubrać. Umówiła się do lekarza neurologa, ale dla Amelki bardzo szybko znaleźli się rodzice adopcyjni, którzy ją wzięli do siebie. Lekarz, do którego poszli, nie zauważył nieprawidłowości, potem jednak okazało się, że dziewczynka była chora.

- Od tamtej pory zawsze każde dziecko porządnie badam, jeśli czuję, że coś jest nie tak - nie odpuszczam. Każde traktuje jak własne, chcę dla nich jak najlepiej. Kiedy odchodzą do nowych domów jest mi trudno, ale na tym polega miłość, że nie dla siebie, a dla drugiej osoby chcę jak najlepiej. Jak przychodzą rodzice adopcyjni, to zostają u nas na noc, żeby lepiej się poznać, żeby wiedzieli, jakie dziecko ma z wychycają, co lubi - podkreśla pani Beata.

- Gdybym miała drugi raz w życiu wybierać zawód to zostałabym położną. Uwielbiam małe dzieci, noworodki, zawsze żałuję, że tak szybko rosną. Jak biorę takie małe dziecko to myślę sobie „komu ja cię oddam, jaki będzie twój los?”

Jedną z obecnych podopiecznych - Wiktorii - ma już uregulowaną sytuację prawną, ale od miesiąca czeka na rodzinę chętną do adopcji. Dwuletnia dziewczynka ma autyzm. Jest w trakcie terapii i jak podkreśla jej opiekunka, ma ogromny potencjał. Dziewczynka jest zarejestrowana w ośrodku adopcyjnym w Żarach i Gorzowie. Osoby zainteresowane adopcją mogą zgłaszać się do placówek.

Wszystko wskazuje na to, że Wiktorii i Kamil to ostatnie małuszki, jakie są pod ich opieką w ramach pieczy zastępczej. Chociaż... nigdy, nic nie wiadomo.

REKLAMA

0111470602

1,5%

Dowiedz się więcej

jak pomóc pomagać!

KRS 0000154454

www.toz.pl

KTOKOLWIEK WIDZIAŁ, KTOKOLWIEK WIE...

Nasz cel się nie zmienia. Odnaleziony po latach w naszym sejfie film z 1958 r. chcemy wyświetlić Lubuszanom. Na razie jednak próbujemy jak najwięcej dowiedzieć się o tamtych czasach. Dlatego prezentować będziemy kolejne zdjęcia i ciekawostki, licząc na odzew Czytelników. Może ktoś dostrzeże na zdjęciach swoich dziadków, wujków czy ciotki i dopowie ich dalsze losy? Może ktoś przeczyta nazwisko kogoś ze swojej rodziny i napisze do nas?

Leszek Kalinowski



35 mm
LUBUSKIEJ
historii.

O zarejestrowanym na taśmach Festynie Praszowym ówczesna „Gazeta Zielonogórska” (dziś „Gazeta Lubuska”) rozpisywała się przez długi czas. Artykuły na jego temat odnaleźliśmy w różnych wydaniach, na różnych stronach i w różnych rubrykach. Nawet we wprowadzonym wówczas dodatku do „GZ” pod nazwą „Nasza wieś”.

Podsumowując wydarzenie sama „Gazeta” zadała pytanie, gdzie wypadł on lepiej. I sama sobie odpowiedziała: W Gorzowie. Dlaczego? Bo zdaniem redakcji był on lepiej przygotowany. Miasto zostało posprzątané, zamalowano niewłaściwe napisy, a place i wyznaczone miejsca były lepiej przygotowane na wydarzenia. Zdaniem „GZ” władza i mieszkańcy bardziej zaangażowali się na północy. Co nie znaczy, że południe nie współpracowało z redakcją w przygotowaniu atrakcji dla mieszkańców całego regionu. I nie tylko, bo przyjezdnych w obu miastach nie brakowało. Wszak nieczęsto można było zobaczyć i usłyszeć tak wielkie gwiazdy estrady z Francji, Holandii, Czechosłowacji czy NRD.

Wydarzenia odbyły się wielkim echem w regionie. Ale nie w Polsce. I tu „GZ” miała żal, więc pisała: „Festyn był sukcesem, ale dlaczego we frankfurckiej „Neuer Tag” można więcej przeczytać o festynie niż w polskich gazetach? Jedyne „Tribuna Ludu” o nim wspomniała. Dlaczego filmy z festynu kręcą nam nasi przyjaciele z NRD a nie Polska Kronika Filmowa? Takich pytań dlaczego jest więcej”.

Wiele uwagi poświęcono konkursowi „Szukamy talentów”, w którym udział wzięło aż stu uczestników. Wzbudził on wielkie emocje, bilety na widowieństwo rozeszły się jak świeże bułeczki. W podsumowaniu „GZ” podkreślała, że mamy wiele wokalnych talentów, znacznie gorzej jest z tańcem, nie mówiąc już o kategorii humor. Pewnie nikt z redakcji nie myślał, że po latach w tańcach doczekamy się i mistrzów Polski i świata, a Zielonogórskie Zagłębie Kabaretowe nie będzie tylko pustą nazwą.

Ale wróćmy do konkursu z 1958 roku. W kategorii piosenkarze najlepiej wypadli: Babianna Pieczyńska, Jerzy Garniewicz, Ina Ciszewska, Wera Gambowska, Jerzy Sędziński, Maria Merena, Janusz Popławski, Marta Mierzyńska, Walter Sobieraj, Andrzej Szymankowski. Laury w kategorii zespoły wokalne zdobyli: Kwartet żeński z Żar, Trio żeńskie z Nowej Soli, Fryderyk Wesse. Na brawa w kategorii soliści instrumentalisci zasłużyli: Piotr Majchrzak, Leon Smejliś. W kategorii konferansjerzy zauważano następujących

uczestników: Adolfa Wójciaka, Tadeusza Żejmę, Wiesława Kralla, Zbigniewa Jęczałę. Wśród humorystów wymieniono nazwiska: Irena Konieczka, Halina Urban, Jan Jeruzal, Adolf Wójciak, Tadeusz Żejmo, Wiesław Krall. Taniec solowy należał do: Leszka Brühla, Heleny Niemiec. Zauważone duety taneczne to: Pawlakówna i Brühl, Szczors i Niewiadomski, Rodakowa i Stępiński, Duet ze Świebodzina. W zonglerce i iluzji laury zdobyli: Jan Chęciński, Waldemar Jotkowski, Jan Miaskowski.

Nagrody wśród publiczności wylosowali Jan Siemieniec, Józef Beling (kaczory) i Sławka Piątkówna (czekolada).

Gazeta rozpisowała się też o wyścigu małych kolarzy. I tak np. w Gorzowie na placu przy ul. Chrobrego zgromadziło się 80 maluchów. Cóż tam były wtedy za emocje. Ci, którzy na metę dotarli w dalszej kolejności, zalewali się łzami. Rodzice musieli długo tłumaczyć, że to tylko zabawa. Co innego rodzice pięcioletniego Zbyszka i sześciolatniego Jurka Korewów! Pękali z dumy, że ich synowie w swych kategoriach zajęli pierwsze miejsce. I to w jakim stylu?! Prowadzili od samego początku.

A oto zwycięzcy wyścigów w poszczególnych kategoriach w Gorzowie: Zdzisio Fiałkowski, Andrzejek Cytryniak, Grzesio Białunowicz, Rysiek Woźny, i Andrzejek Kowalczyk. Wśród dziewczynek najlepszymi okazały się: Jadziunia Boczkowska oraz Iwonka Kowalska.

W Zielonej Górze triumfowali (w różnych kategoriach wiekowych): Zbyszek Erwiński, Jurek Lisiński, Bolek Kurlus, Leszek Banach, Zdzisiu Michalski, Mirek Wawrzczak, Tadek Wawrzynkiewicz, Leszek Hrenowicz. Wśród dziewczynek nagrodę otrzymała Basia Makowiecka.

Czym w tym czasie żyli mieszkańcy regionu? Z ogłoszeń zamieszczanych w gazecie wynika, że np. sprzedają norek i lisów. Sprzedawano też konie. A nie była to prosta sprawa, by takie zwierzę kupić. Oto tylko jedno z ogłoszeń: „Zielonogórskie Okręgowe Przedsiębiorstwo Gospodarki Zwierzętami Rzeźnymi w Sulechowie ogłasza przetarg na sprzedaż 9 koni roboczych. Przetarg odbędzie się 30 lipca 1958 r. o godz. 10.00 na Baziu Żywca w Głogowie (...) Odreflektujących na kupno wymagane jest zaświadczenie z prezydium rad narodowych o potrzebie kupna”.

Mnie zaskoczyło inne ogłoszenie: Dr Seweryn Gunter, specjalista chorób wewnętrznych, przyjmował będzie w niedzielę w godzinach 14.00 - 16.00 przy al. Niepodległości 1 (II piętro) w Zielonej Górze”.

Wszystkich, którzy chcieliby z nami podzielić się wspomnieniami z tamtych czasów, rozpoznał na zdjęciach kogoś z waszych bliskich, prosimy o informacje mailowe: Leszek.Kalinowski@polskapress.pl



FOT. KADR Z FILMU



FOT. KADR Z FILMU



FOT. KADR Z FILMU

Jak już pisaliśmy w poprzednich Magazynach „GL” (6, 13 i 27 marca), w redakcyjnym sejfie, który był zamknięty na cztery spusty, bo zgubiliśmy klucz, odnaleźliśmy dwie puszki z taśmami 35 mm w środku. Jak się okazało, są to filmy nakręcone w 1958 roku w Gorzowie i Zielonej Górze i są zapisem Pikniku Prasowego zorganizowanego przez „Gazetę Zielonogórską” poprzedniczkę „Lubuskiej”. Sprawdziliśmy, że tradycja takich pikników przywędrowała do nas z Frankfurtu z gazety „Neuer Tag”, z którą wtedy współpracowaliśmy, a do Niemiec przywędrowała z Francji. Wiemy też, że festyn zorganizowany w 1958 roku był już drugim, ale dlaczego akurat ten uwieczniono na taśmie? Nie wiadomo. Podczas imprez dla mieszkańców regionu przygotowano wiele atrakcji i zawodów sportowych, były też występy estradowe. Film pokazuje podnoszący się z ruin Gorzów i Zieloną Górę zaledwie 13 lat po wojnie.



FOT. KADR Z FILMU

Święty Mateusz, opowiadając epizod o żądaniu znaku z nieba skierowanym do Jezusa, rozpoczynając go słowami: „Przystąpili do Niego faryzeusze i saduceusze, i wystawiając Go na próbę, prosili o ukazanie znaku z nieba” (Mt 16,1).

Pobożni i ci mniej

Żydowski historyk Józef Flawiusz w swej „Wojnie żydowskiej” zapisał: „Są bowiem u Żydów trzy rodzaje uprawianej filozofii: zwolennicy jednej zwą się faryzeuszami, drugiej - saduceuszami, a trzeciej - esseńczykami. Ci ostatni cieszą się opinią wielce świątobliwych”. W powszechnej do dziś opinii faryzeusze i saduceusze byli zawsze sprzymierzeńcami w swej wrogości do Jezusa. Tymczasem obydwaj stronnictwa jeszcze większą niechęć żywiły do siebie nawzajem.

Esseńczycy z Qumran nad Morzem Martwym byli w tej kwestii bardziej zdystansowani. Dowodzi to, że judaizm, jako religia pozbawiona dogmatów w chrześcijańskim rozumieniu tego słowa, sprzyjał powstawaniu ugrupowań o charakterze religijnym, które odznaczały się nie tylko różnym stopniem politycznego zaangażowania, ale tolerancją na teologiczne nowości.

Faryzeusze, saduceusze i esseńczycy nie byli sami. Dodajmy do nich sięgających po terror zelotów, sykaryjczyków, czyli ich jeszcze bardziej radykalny odłam, i herodian, którzy uważali Heroda Wielkiego za swojego mesjasza. Swój wkład w religijny mikś mieli także mieszkający w Egipcie tzw. terapeuci, którzy prowadzili życie zbliżone do monastycznego. Byli tak pobożni, że Euzebiusz z Cezarei w swojej „Historii kościelnej” uznał ich za pierwszych mnichów.

Większość pobożnych Żydów nie była jednak formalnie ani faryzeuszami, ani saduceuszami, ani nie należała do innych ugrupowań. Ulegali silniejszym lub słabszym wpływom poszczególnych ugrupowań.



Jean Tissot „Jezus wystawiony na próbę przez faryzeuszy i esseńczyków”. Ten obraz powstał we Francji w latach 1886-1894. Obecnie można go oglądać w Brooklyn Museum w Stanach Zjednoczonych

RELIGIJNA PANORAMA PALESTYNY W CZASACH CHRYSTUSA

Faryzeusze, saduceusze, esseńczycy - te trzy stronnictwa dominowały w ówczesnej Ziemi Świętej. Wszystkie były uwikłane politycznie, ale dwa pierwsze uznały naukę Chrystusa za wrogą i niebezpieczną

Mariusz Grabowski

Najważniejsze Prawo

Największe, jak się powszechnie przypuszcza, wpływy na kształt instytucji religijnych i na myśl teologiczną judaizmu w czasach Jezusa mieli faryzeusze. Flawiusz wspomina o ich istnieniu już za czasów Jonatana (161-143 r. przed Chrystusem). Kiedy na arenie politycznej Palestyny pojawili się Rzymianie, ich rola znacznie zmalała, nie zeszedł jednak całkowicie ze sceny politycznej.

Nazwa ugrupowania pochodzi od hebrajskiego słowa „oddzielony”, „odseparowany”. Jej

rodowód nie jest znany, najczęściej jednak uważa się, że przylgnęła ona do tych, którzy oddzielali się od innych niezwykle silnym przylgnięciem do Prawa Starego Testamentu. Faryzeusze zwracali największą uwagę na zachowanie przepisów Prawa w każdym szczególe. Sądziło, że Bóg dał Mojżeszowi nie tylko Torę, ale także tradycję ustną.

Od strony eschatologicznej faryzeusze pełni byli nadziei na indywidualne przetrwanie: człowiek po śmierci zmarłych wstaje w swym wła-

snym ciele i wciąż - zgodnie z Platonem - posiada duszę nieśmiertelną, która zasługuje na szczęście w niebie lub potępienie w piekle, w zależności od doczesnych poczynań. Wierzyli więc w sąd ostateczny. Uznawali także istnienie substancji duchowych - aniołów, czemu zdecydowanie sprzeciwiali się saduceusze.

Faryzeusze przyglądali się Jezusowi, jego uczniom i jego nauce bardzo uważnie. Dlatego też w Ewangeliach jest przez nich nieustannie obserwowany, atakowany za działalność, za różne wypowiedzi, za kontakty choćby z grzesznikami, celnikami, Samarytanami i poganami. Jezus wciąż odpowiada na ich zarzuty, pułapki, groźby, czy nawet na zamachy na swoje życie.

Niekiedy sam atakuje i prowokuje, a nawet grozi w najsilniejszych słowach: „Strzeżcie się uczonych w Piśmie. Zupodobaniem chodzą oni w powłóczystych szatach, lubią pozdrowienia na rynku, pierwsze krzesła w synagogach i zaszczytne miejsca na ucztach. Objadają domy wdów i dla pozoru odprawiają długie modlitwy. Ci tam surowszy dostaną wyrok” (Mk 12,38-40). W innym miejscu: „Wężę, plemię zmijowe, jak wy możecie ująć potępienia w piekle?” (Mt 9-32).

Już po zburzeniu świątyni ruch faryzeuszy przejął niemal pełną kontrolę nad Żydami w Judei i żydowską diasporą. Większość faryzejskich „uczonych w piśmie” wywędrowała razem z żydowskimi wygnańcami do Babilonii i Egiptu, a część pozostała w Palestynie. Dzięki właśnie faryzeuszom prawo ustne zostało przekazane, rozszerzone, na nowo sformułowane i w końcu skodyfikowane w Misznie (ok. 200 roku po Chrystusie), a potem w uzupełnionym Talmudzie. Tak narodził się rabinizm.

Nieuprzejmi, arogancy

Mniej wpływowi od faryzeuszy byli saduceusze, w gronie których znajdowało się wielu przedstawicieli ówczesnych możnych elit, zwykle sprzyjających Rzymowi. Niektórzy wywodzą saduceuszy od Sadoka, kapłana o znacznych wpływach politycznych za czasów Dawida, inni zaś wolą odwołać się do hebrajskiego przymiotnika „saddiq”, co znaczy „sprawiedliwy”. Stronnictwo powstało niemal jako współczesne narodzinom faryzeizmu, a więc w II wieku przed Chrystusem.

Saduceusze w zasadniczych punktach podzielali doktrynę judaizmu: Bóg wybrał Izraela, a Izraelici winni są posłuszeństwem Prawu. Ale można odnieść wrażenie, że w przekonaniu saduceuszy sporo jest elementów protodeizmu - dobro i zło, pomyślność i nieszczęście zależą od przeważającej mierze od woli człowieka.

Potwierdza to Flawiusz: „Saduceusze, stanowiący drugi zakon, w ogóle nie uznają losu, a Bóg według nich jest poza możliwością czynienia jakiegokolwiek zła lub nawet oglądania go. Utrzymują, że ludzie mogą czynić wybór pomiędzy dobrem a złem i tylko od ich woli zależy, czy pójdzie jedną, czy drugą drogą. Odrzucają jednak nieśmiertelność dusz, odbieranie kary lub nagrody w Hadesie”.

Co ważne: saduceusze odrzucali wiarę w nieśmiertelność dusz, negując tym samym zmartwychwstanie i sąd ostateczny. Podobnie było z koncepcjami mistycznymi oraz mesjanizmem. Nie przyjmowali też innych pism Biblii Hebrajskiej poza Pięcioksięgiem ani tradycji ustnej. W Dziejach Apostolskich czytamy: „Saduceusze bowiem mówią, że nie ma zmartwychwstania, ani anioła, ani ducha, a faryzeusze uznają jedno i drugie”.

Można by to nazwać - używając dzisiejszych pojęć - judaizmem reformowanym. W Nowym Testamencie przedstawicielem saduceuszy to głównie wyżsi kapłani i arcykapłani w świątyni jerozolimskiej. Zajmowali większość z 70 miejsc w radzie rządzącej zwanej Sanhedrynem, co nie znaczy, że przez większość czasu nie musieli zga-

dzać się z pomysłami mniejszości faryzejskiej, ponieważ ci byli bardziej popularni wśród mas.

Ponieważ saduceusze nie zostawili po sobie żadnego pismnego świadectwa, wszystko, co wiemy o tym, w co wierzyli i co robili, znajduje się w Biblii i źródłach z drugiej ręki. Według większości zapisów saduceusze byli nieuprzejmi, arogancy, żądni władzy i szybko spierali się z tymi, którzy się z nimi nie zgadzali. Zniknęli po przegranej antyrzymskim powstaniu (66-70 r. po Chrystusie), zburzeniu świątyni przez Tytusa i rozproszeniu Żydów.

Benedykt zadziwia

Jakkolwiek dziwnie to zabrzmiało, nauczanie Jezusa zdecydowanie bliższe jest poglądom faryzejskim niż saducejskim. Stąd też między Jezusem a faryzeuszami nie zawsze panowały wrogie relacje - to właśnie faryzeusza o imieniu Nikodem podczas nocnej rozmowy Jezus przekonywał o miłości Boga: „Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne” (J 3,16).

Jeszcze do niedawna teologowie i historycy nie traktowali też poważnie teorii, że Jezus miał bliskie relacje z esseńczykami. Ci bowiem raczej unikali kontaktów ze świątynią i żyli w wyodrębnionych zamkniętych społecznościach, które cechowała na poły komunistyczna wspólnota dóbr materialnych, czystość rytualna (w tym celibat) i ścisłe podporządkowanie się wewnętrznej hierarchii władzy. Lecz w kwietniu 2007 roku wiernych zelektryzowały słowa Benedykta XVI, który w homilii wygłoszonej w Wielki Czwartek zauważył, że „jest wielce prawdopodobne, że Jezus celebrował Paschę według kalendarza i zgodnie ze zwyczajami esseńczyków”.

Papież nawiązał tym samym do istniejącej w Ewangeliach tzw. pozornej przeciwności, odnoszącej się do dnia śmierci Jezusa. Szukając jej wyjaśnienia w wielkoczwartkowym kazaniu, papież stwierdził, że Jezus spożywał Ostatnią Wieczerzę według zwyczajów wspólnoty z Qumran. Powstają w związku z tym pytania: dlaczego tak postąpił? Jaka była prawdziwa relacja Jezusa z esseńczykami? Dlaczego nie wspomina się o nich w Nowym Testamencie? A także: jaki był związek Jezusa z Janem Chrzycielem, który głosił swoją naukę w pobliżu Qumran?

Pytania te wciąż czekają na odpowiedzi i być może nigdy ich nie dostaniemy. Esseńczycy zniknęli bowiem ze sceny dziejów za czasów powstania antyrzymskiego i krwawej pacyfikacji Judei przez Tytusa. Po tych wydarzeniach nie znaleziono już żadnych śladów dotyczących tego ugrupowania.

REKLAMA

0011492499

SPECJALISTYCZNA PRAKTYKA LEKARSKA „JEDNO SERCE”

lek. Katarzyna Grela-Cyndecka

Specjalista Chorób Wewnętrznych
Kardiolog

Specjalista Medycyny Pracy



DIAGNOSTYKA KARDIOLOGICZNA

EKG, holter EKG, holter ciśnieniowy, test wysiłkowy, echo serca

GABINET MEDYCYN PRACY

BADANIA: Profilaktyczne pracowników, kierowców, sanitarno-epidemiologiczne, do pozw. na broń.

PRZYJĘCIA PO REJESTRACJI TELEFONICZNEJ

REJESTRACJA WTOREK, ŚRODA, CZWARTEK w GODZ. od 9.00 do 17.00 ☎ 517 057 501

MIĘDZYRZECZ, ul. 30 Stycznia 35A

(J 1, 5):
Światłość w ciemności świeci

PULS
#210



O. PATTON: TRZEBA „ODSAKRALIZOWAĆ” I ZEŚWIECCZYĆ WŁADZĘ POLITYCZNĄ

Na Bliskim Wschodzie dzieje się to, co po upadku muru berlińskiego. Upadły świeckie ideologie, a ci, którzy sprawują władzę, zaczęli instrumentalizować religie, aby budować tożsamość i podziały - mówi o. Francesco Patton, autor medytacji Drogi Krzyżowej na Wielki Piątek w Koloseum, były Kustosz Ziemi Świętej

Roberto Cetera, „L'Osservatore Romano”

Ojciec Francesco, Papież powierzył Ojcu przygotowanie medytacji, które będą towarzyszyć Drodze Krzyżowej w Wielki Piątek w Koloseum.

Jest to jednoznaczny znak troski Ojca Świętego o Ziemię Świętą i o tragedie, które dotykają kraje Bliskiego Wschodu. Leon XIV, od dnia swojego wyboru, nieustannie wzywa do daru pokoju. Wyrażał bliskość i solidarność nie tylko wobec Ziemi Świętej, lecz także wobec wszystkich krajów, narodów i osób cierpiących z powodu wojny. Jest to zresztą linia Kościoła od ponad 100 lat, odkąd 1 sierpnia 1917 roku Benedykt XV odmówił błogosławienia armii, nazwał toczącą się wojnę „bezsensowną rzezią” i wezwał przywódców państw walczących do osiągnięcia sprawiedliwego i trwałego pokoju poprzez negocjacje, poszanowanie prawa międzynarodowego, zwrot okupowanych terytoriów, przywrócenie swobody przemieszczenia się oraz rozbrojenie, które uwolni zasoby na rzecz dobra wspólnego i rozwoju.

Od tamtej pory Kościół zawsze okazywał bliskość ludom doświadczonym przez wojnę i wielokrotnie powtarzał potępienie konfliktów zbrojnych, które nadal pozostają „bezsensowną rzezią”. Niemal w każdej niedzielę po modlitwie Anioł Pański oraz w każdą środę po katechezie podczas audycji ogólnej papież Prevest podkreślał konieczność dążenia do pokoju - powtarzam - nie tylko w Ziemi Świętej, lecz we wszystkich krajach (jest ich

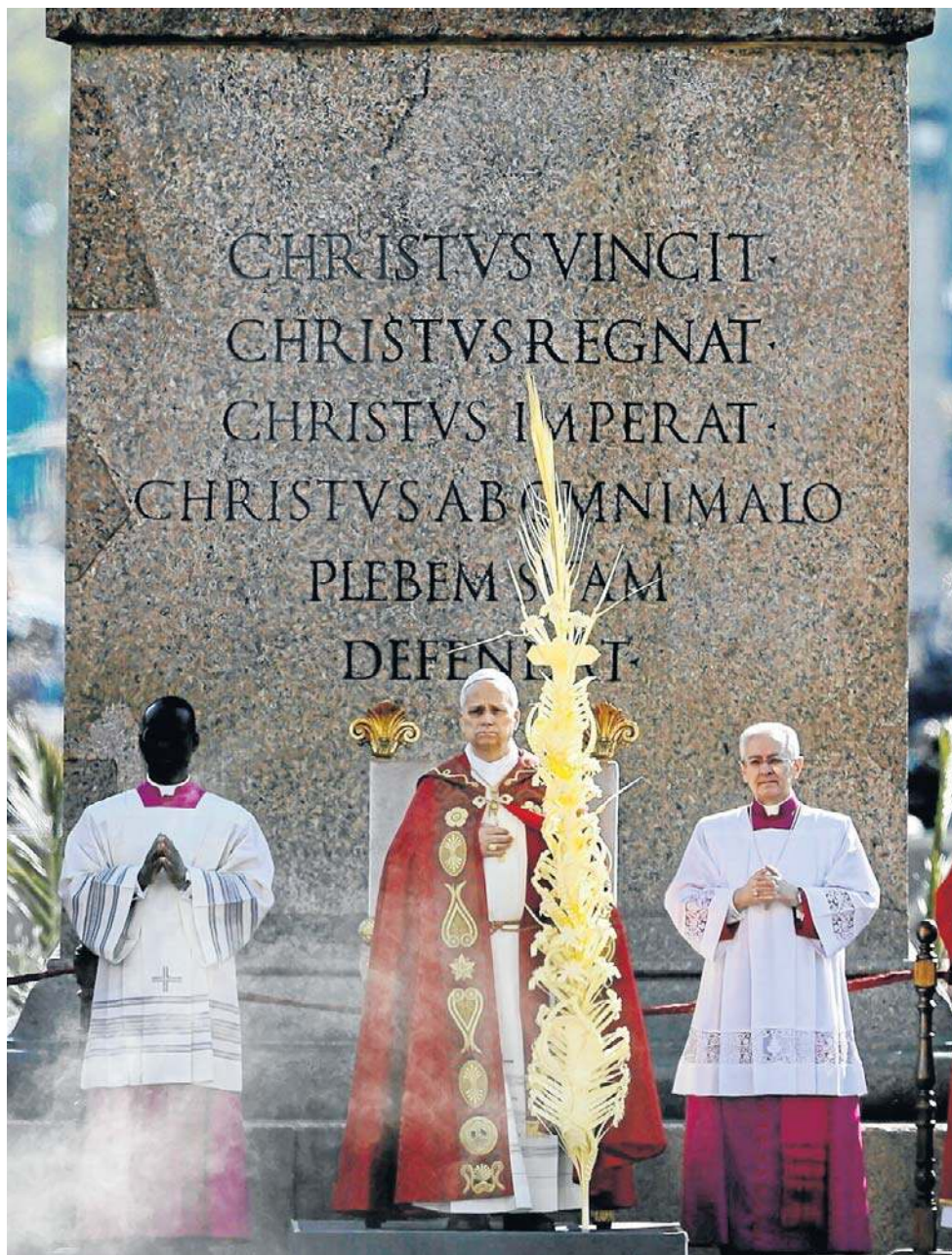
około 60), które są obecnie uwikłane w krwawe wojny. W ubiegłą niedzielę użył bardzo mocnych słów, odrzucając przemoc dokonywaną w imię Boga, mówiąc, że Bóg nie wysłuchuje modlitwy wojowników mających ręce splamione krwią.

Wyobrażam sobie, że otrzymanie tego zaproszenia było dla Ojca zaskoczeniem.

Było to bardzo duże zaskoczenie. W praktyce skontaktował się ze mną Sekretariat Stanu, informując, że Ojciec Święty - w związku z osiemsetną rocznicą śmierci św. Franciszka z Asyżu - polecił zwrócić się do mnie z prośbą o przygotowanie medytacji. To mnie zarazem oniemiało i zaszczyciło.

Co najbardziej inspirowało Ojca podczas pisania tych medytacji?

Czerpałem inspirację z tekstów Ewangelii, ze szczególnym uwzględnieniem Ewangelisty Jana, który ma przenikliwe spojrzenie na tajemnicę Męki Pańskiej; a także z „Pism” św. Franciszka, które są skarbnicą duchowości chrześcijańskiej. W rozważaniach i modlitwach widać wyraźnie, że inspiracja pochodzi również z aktualnej rzeczywistości oraz z konkretnych osób, w których - w ciągu tych lat - mogłem dostrzec postacie Drogi Krzyżowej. Tam, gdzie mówię o cierpieniu matek i kobiet, w tle wyraźnie obecne są kobiety, o których pisał także „L'Osservatore Romano”, i które dziś uosabiają postać Maryi, Weroniki czy ko-



Papież Leon XIV podczas Niedzieli Palmowej w Watykanie

biet jerozolimskich. Za refleksją o wypaczonej koncepcji władzy i jej nadużywaniu stoją wydarzenia ze współczesnych wiadomości międzynarodowych, widoczne dla wszystkich; Szymon z Cyreny ma twarz wielu wolontariuszy i pracowników humanitarnych (a także ludzi mediów), których spotkałem w tych latach i którzy ryzykowali życie, aby zatroszczyć się o innych lub ukazać prawdę - nawet nie będąc chrześcijanami.

Jednak w rozważaniach konkretne sytuacje, które są przywoływane, nie mają na celu wydawania osądu o poszczególnych osobach, lecz zapraszają do refleksji, do stawiania pytań i - jeśli to konieczne - także do zmiany. Przesłanie ma zasadniczo charakter religijny i chce wyrazić bliskość Jezusa Chrystusa, jako wcielonego Syna Bożego, wobec każdej osoby ludzkiej. Starałem się, aby Droga Krzyżowa w Koloseum była inspirowana Drogą Krzyżową, którą w każdy piątek przechodzimy wzdłuż Via Dolorosa, a zarazem czerpała z duchowości św. Franciszka, by pomóc wierzącym „iść śladami Jezusa”, a niewierzącym odkryć, że Jezusowi zależy na każdym z nas i że w Nim może znaleźć nadzieję oraz sens życia także ten, kto już je utracił.

Moim pragnieniem jest, aby spotykając Jezusa Chrystusa i idąc za Nim ku Kalwarii, każda osoba odczuła Jego bliskość i Jego miłość; aby dostrzegła, że Jezus Chrystus oddał życie za każdego z nas i pragnie prowadzić każdego z nas, by „po-

wrócić do Ojca” razem z Nim, odnaleźć pełnię życia dzięki Niemu i przeżywać ludzką kondycję - ograniczoną i śmiertelną - w perspektywie Paschy, Zmartwychwstania, życia wiecznego oraz udziału w samym życiu Boga.

Posługa ojca obejmowała w ciągu dziewięciu lat wydarzenia o wielkiej wadze: wojnę domową w Syrii, pandemię Covid, wojnę w Gazie. Teraz, po zakończeniu swojej misji, zdecydował się Ojciec pozostać - jako zwykły zakonnik - w Ziemi Świętej: na górze, z której Mojżesz mógł ją jedynie zobaczyć. Dlaczego wybrał Ojciec właśnie górę Nebo?

Dokładniej mówiąc, wyraziłem gotowość zamieszkania na Górze Nebo. Po wielu latach spędzonych na posługach związanych z władzą i zarządzaniem odczuwałem potrzebę powrotu do życia jako zwykły brat mniejszy. Życie w małej, nieco peryferyjnej wspólnocie pozwala mi odzyskać bardziej regularny rytm modlitwy, powrócić do studiów, służyć pielgrzymom oraz wykonywać proste, pokorne posługi. Poza tym Góra Nebo zawsze mnie fascynowała - zarówno dlatego, że jest związana z postacią św. Mojżesza, niezwykle bogatą duchowo, którą chciałbym jeszcze lepiej zgłębić, jak i dlatego, że przez wieki miejsce to było klasztorem i sanktuarium bizantyjskim, później pochłoniętym przez dzieje historii i popadłym w ruinę, aż wreszcie odrodzonym sto lat temu dzięki braciom z Kustodii Ziemi Świętej. To oni tutaj, w Jordanii, potrafili nawiązać przyjaźń z rodziną beduińską, która była właścicielem tego miejsca i która po sprzedaży terenu Kustodii w 1932 roku pozostała z nami we współpracy. Jest to miejsce spotkania dla wszystkich i ze wszystkimi, odwiedzane przez chrześcijan i muzułmanów, gdzie każdy może oddychać atmosferą wiary i pokoju, jaką ono przekazuje, i gdzie wszyscy mogą otrzymać „uzdrowienie ciała i duszy”, jak mówił pielgrzym z V wieku.

Chrześcijanie w Ziemi Świętej przeżywają codzienną drogę krzyżową, której coraz częściej skutkiem jest emigracja. Jak można być solą ziemi w takich warunkach?

Jest to bardzo trudne, ale nie niemożliwe. Chrześcijanie żyjący dziś w Ziemi Świętej są bardzo podobni do chrześcijan pierwszego pokolenia - mają te same zalety i te same ograniczenia, a prawdopodobnie także to samo „DNA”. Jeśli jednak 2000 lat temu Jezus mówił do nielicznych uczniów: „Nie bój się, mała trzódka, gdyż spodobało się Ojcu waszemu objawić wam tajemnice Królestwa”, to dlatego, że już wtedy uczniowie byli statystycznie



W tym roku tradycyjną drogę krzyżową w Koloseum po raz pierwszy poprowadzi papież Leon XIV. Będzie niósł krzyż

nieistotni, a jednak odkryli prawdziwy sens życia - ten objawiony przez Jezusa w Kazaniu na Górze, którego szczytem są błogosławieństwa, przebaczenie nieprzyjaciółom i miłosierdzie; ten objawiony poprzez przyjęcie najmniejszych, kobiet, ubogich, chorujących, ale także celników, grzeszników i prostytutek; ten objawiony w geście umywania nóg swoim uczniom, a następnie w oddaniu życia i zwycięstwie nad śmiercią dla nas. Bycie chrześcijaninem w Ziemi Świętej (ale także w każdym miejscu na świecie, gdzie chrześcijanie są nieliczni i/lub prześladowani) jest powołaniem i misją: jesteśmy wezwani, by ukazywać miłosierne oblicze Boga, który przyjmuje każdą osobę bez względu na płeć, narodowość czy religię; jesteśmy wezwani także w ten sposób - by objawiać godność dziecka Bożego, stworzonego na obraz i podobieństwo Boga, którą posiada każdy człowiek: także ten, kto należy do innego narodu, także ten, kto popełnił błędy, także ten, kto wyrządził mi krzywdę.

Religie jako narzędzie pokoju. A jednak wojny na Bliskim Wschodzie - inaczej niż w poprzednich dekadach - mają coraz częściej odniesienie reli-

gijne. Nawet Izrael, który powstał w świeckim kontekście o zachodnim charakterze, dziś zdaje się być pod wpływem fundamentalizmu o zabarwieniu mesjanistycznym. Co się stało?

Stało się to samo, co wydarzyło się także gdzie indziej - zwłaszcza po upadku muru berlińskiego: upadły świeckie ideologie, a ci, którzy sprawują władzę, zaczęli instrumentalizować religie, aby budować tożsamość i podziały. Można powiedzieć, że powrócili „zełoci”, którzy w czasach Jezusa usprawiedliwiali przemoc w imię Boga. Dziś „zełotów” można spotkać wszędzie: w świecie muzułmańskim - w postaci całej mozaiki uzbrojonych ruchów fundamentalistycznych; w świecie żydowskim - reprezentowanych choćby przez osadników i tych, którzy wspierają ich politycznie na poziomie lokalnym i międzynarodowym;

także wśród chrześcijan, którzy - niestety - potrafią wzywać do osobliwych „błogosławieństw”, idących w kierunku przeciwnym do tego, który wskazał w ostatnią niedzielę Leon XIV, a dwa tysiące lat temu Jezus w Getsemani; a nawet w wersji świeckiej - w lacyzmach państwowych, które w sposób dyskryminujący i prześladowczy ograniczają wyrażanie religii. To, co dzieje się w Izraelu, nie jest anomalią, lecz globalną tendencją. W tym kontekście Kościół ma do odegrania bardzo ważną rolę: ponownie zaproponować podstawowe zasady Ewangelii - oddać Cezarowi to, co należy do Cezara, a Bogu to, co należy do Boga. Trzeba więc „odsakralizować” i zeświecczyć władzę polityczną, a jednocześnie zagwarantować wolność religijną dla wszystkich. Trzeba odebrać grunt zarówno fundamentalizmowi religijnemu,

jak i politycznemu wykorzystaniu religii. Aby to osiągnąć, należy także przekonać przywódców religijnych wszystkich religii do współpracy w celu delegitymizacji wszelkiego używania religii do usprawiedliwiania przemocy. Zasady zawarte w Dokumentie o braterstwie ludzkim, podpisanym w Abu Zabi przez papieża Franciszka i wielkiego imama Al-Azhar, a następnie podjęte w encyklice Fratelli tutti, mogłyby być doskonałym punktem wyjścia dla swojej „ONZ religii”. Oczywiście konieczna jest także edukacja wiernych w tym duchu - choć trzeba mieć świadomość, że „zełoci” będą się temu zdecydowanie sprzeciwiać, powołując się przy tym na argumenty religijne.

Konflikt izraelsko-palestyński trwa już 80 lat. 95 procent dzisiejszych stron konfliktu nigdy nie zaznało pokoju. Zapytam bardzo prosto: czy pokój w Ziemi Świętej kiedykolwiek nadejdzie?

Prędzej czy później nadejdzie - nieuchronnie - ale droga do niego będzie jeszcze długa. Potrzebna będzie zmiana pokoleniowa, zmiana klasy politycznej (oby nie oznaczała przejścia z deszczu pod rynnę),

a przede wszystkim zmiana kulturowa. Dziś - niestety - brakuje prawdziwych proroków i ludzi z wizją, ale nie jest to problem wyłącznie Izraela i Palestyny czy Bliskiego Wschodu - to problem globalny. Istnieją jednak pozytywne znaki w społeczeństwie obywatelskim: mam na myśli ruch zapoczątkowany przez Izraelczyka Maoza Inona i Palestyńczyka Aziza Abu Sarah, a także inicjatywy takie jak „Matki chodzące boso dla pokoju” czy „Women of Faith for Peace” oraz wiele innych małych grup, które - miejmy nadzieję - będą się rozwijać. Nasze szkoły są również przykładem wychowania do współistnienia i braterstwa. Jak wielokrotnie powtarzałem w ostatnich latach, istnieje też odpowiedzialność polityczna: wprowadzenie do systemów edukacyjnych obowiązkowych programów uczących szacunku i otwartości na drugiego człowieka, zarządzania konfliktami oraz budowania pokoju - na wzór tego, co realizuje się w Rondine, „miasteczku pokoju” w prowincji Arezzo. Dotyczy to nie tylko Izraela i Palestyny, ale także krajów europejskich.

Wywiad pierwotnie ukazał się w Vatican News

TO, CO DZIEJE SIĘ W IZRAELU, NIE JEST ANOMALIĄ, LECZ GLOBALNĄ TENDENCJĄ. KOŚCIÓŁ PONOWNIE MUSI ZAPROPONOWAĆ PODSTAWOWE ZASADY EWANGELII

OD 22 LAT CZEKA W WIEZIENIU NA SPRAWIEDLIWOŚĆ. - NIE WIERZYŁEM, ŻE TO SIĘ DZIEJE

– Kiedy usłyszałem, że resztę życia mam spędzić w więzieniu za coś, czego nie zrobiłem, kolana pode mną się ugięły, miałem ciemność przed oczami – opowiada Piotr Pytel, skazany na dożywotnie pozbawienie wolności za morderstwo, którego nie popełnił

Andrzej Płeś

Przytłaczający trzask otwieranych i zamkniętych zakratowanych drzwi pomieszczeń więziennych, labirynt korytarzy Zakładu Karnego w Rzeszowie, przestrzenie klaustrofobiczne, wszechobecne kraty w oknach, to tylko cząstka rzeczywistości Piotra. Na spotkanie, w towarzystwie funkcjonariuszy służby więziennej, przychodzi człowiek promieniający uśmiechem i życzliwością dla ludzi, jego postawa kompletnie nie pasuje do otoczenia. I jeszcze mniej do stereotypu osadzonego. Czasem sprawia wrażenie, jakby zadowolony był ze swojego życia, a on tylko jest z nim pogodzony. Jak biblijny Hiob doświadczany wszelkimi nieszczęściami, a jednak nie zionący nienawiścią do świata i bliźnich za swoją krzywdę. A czasem zapada w zadumę. Na piesi wisi na łańcuszku dyskretny estetycznie, ale wyraźnie widoczny krzyż, przegub lewej dłoni oplata drewniana koronka zakończona krzyżkiem. W tej rozmowie wątek religijności często będzie się przewijał i wcale nie nachalnie, ale jakby mimochodem, dla wytłumaczenia, że wiara pozwoliła mu przetrwać psychicznie więzienną odyseję.

Niczym Józef K. z procesu Kafki

Tamtego dnia 2004 roku w Monachium zamordowano luksusową prostytutkę Ekate-

rinę I., o zabójstwo której niemiecka prokuratura oskarżyła, a bawarski sąd skazał Piotra w 2006 r. na dożywotnie pozbawienie wolności. Kilka lat później do zabójstwa przyznał się Tomasz Lis, znany Piotrowi, nawet pomieszkiwał u Piotra w Monachium, nawet został przez niego podwieziony komunikacją miejską na miejsce zbrodni. I kiedy śledczy postawili Piotra w stan oskarżenia, a sąd ogłosił wyrok, skazaniec – przyznaje dziś – miał poczucie, że uczestniczy w nierealnej rzeczywistości.

– Kiedy usłyszałem, że resztę życia mam spędzić w więzieniu za coś, czego nie zrobiłem, kolana pode mną się ugięły, miałem ciemność przed oczami, nie wierzyłem, że to się dzieje naprawdę – opowiada. – Chyba nie wszystko z tamtej chwili pamiętam. Na sali niemieckiego sądu nie było nikogo z moich bliskich, po „mojej stronie” była tylko adwokatka.

Nigdy nie przyznał się do popełnienia tej zbrodni, choć przyznaje, że jakiś udział w niej miał.

GDYBY NIE RODZINA I PRZYJACIELE, TO PEWNIENIE BYM SIĘ ZAŁAMAŁ. W CHWILACH KRZYKSU CZASEM COŚ WE MNIE KRZYKNIJE, ŻE – NIE, TO JESZCZE NIE KONIEC

– Tomasza Lisa, bo tak się wtedy przedstawiał, na takie nazwisko miał paszport, ale nazywał się zupełnie inaczej, otóż Tomasza Lisa podwieziono do miejsca zamieszkania tej kobiety, z którą miał się spotkać – relacjonuje. – On nie znał miasta, a ja tam mieszkalem od dłuższego czasu. Zostałem go przed jej blokiem i poszedłem na przystanek, na którym umówiliśmy się z kolegą, że mnie stamtąd odbierze. Oczywiście byłem świadkiem, że Lis idzie tę kobietę okraść, ale nigdy bym się nie zgodził na pozbawienie jej życia. Lis został do Monachium przysłany przez pewnych kolegów z Polski.

Już sam fakt zatrzymania przez niemiecką policję kryminalną był dla Piotra szokiem, jeszcze większym, kiedy posądzono go o zabójstwo na Ekaterinie. Przyznaje, że początkowo ukrywał to, że jednak jakąś mikroskopijną winę tej zbrodni ma na sumieniu.

– Po kilku dniach od zatrzymania powiedziałem sobie, że pójdę do adwokatki i wyznam całą prawdę – opowiada. – Wy-

śluchano mnie, próbowano dotrzeć do Tomasza Lisa, a trwało to bardzo długo. Innych świadków zabójstwa nie było, a mnie mieli pod kluczem, skazali mnie po poszlakach i założeniach. Bo kilka dni po osadzeniu mnie w areszcie śledczym w wydaniu sobotnio-niedzielnym lokalnej prasy pojawiło się moje zdjęcie z opaską na oczach wraz z informacją o śmierci kobiety w tym i tym dniu i miejscu. I adnotacja o wyznaczonej nagrodzie dla tego, kto pomoże w wyjaśnieniu okoliczności tego przestępstwa.

Zgłosił się niejaki Lufingo, aresztant z tego samego bloku, w którym przebywał Piotr.

– To był mój towarzysz z aresztu, to miejsce wyglądało inaczej niż w Polsce: otwarte drzwi, codziennie łaźnia, sto osób codziennie idzie się kąpać, na korytarzu leżą gazety, w jednej z nich zobaczyłem moje zdjęcie – wspomina tamtą sytuację. – Nie wiedział o mnie nic, w ogóle o zabójstwie sam dowiedziałem się z informacji radiowej, kiedy sprawcy w Monachium już nie było. Mam zeznania Lufingo z ostatniego dnia mojego procesu, które stały się koronnym dowodem przeciwko mnie. Zacytuję: „Zgodnie z zaleceniami Pytla, który całe to zajęcie obserwował, Lis skrepił nieprzytomnej ofierze ręce na plecach. Pytel, który obserwował Lisa przyzwał na to, Pytel stał obok. Później

wyszedł z tego mieszkania”. Skąd on to wiedział? Albo kto mu to podpowiedział?

Mówi, że na wszystkie możliwe sposoby próbował się bronić, domagał się badania wariografem, na co niemieccy śledczy się nie zgodzili.

– Moich wypowiedzi nie traktowano poważnie, twierdzono, że wymyślam, że kogoś ukrywam, bo nie było możliwości ustalenia prawdziwego sprawy – wspomina. – Lisa wcześniej nie znałem, a poznałem go pod takim właśnie nazwiskiem. Przesłali go do mnie pewni ludzie z Polski celem kradzieży obrazu w galerii. Mimo że wiedziałem, co zamierza, zdecydowałem się mu pomóc, czego bardzo żałuję. Moja sprawa była tak głośna i medialna, że był ogromny nacisk, by tę sprawę wreszcie skończyć. Pamiętam, że ostatniego dnia prokurator powiedział mi: kończymy, ty będziesz za wszystko odpowiadał.

Mimo że na miejscu zbrodni nie znaleziono śladów jego linii papilarnych, śladów DNA, a w chwili zabójstwa był kilkaset metrów od miejsca zabójstwa, na przystanku autobusowym.

– I to nie były tylko moje twierdzenia, to potwierdziła niemiecka policja – zapewnia. – A i tak koronnym dowodem były zeznania Lufingo.

Walka o życie. Resztę życia

W 2009 r. został przewieziony do polskiego zakładu

karnego na mocy konwencji o przekazywaniu osób skazanych. Wbrew własnej woli, bo chciał pozostać w niemieckim więzieniu, które w 2019 mógł opuścić na przedterminowe warunkowe zwolnienie.

– Odwoływałem się od tej decyzji, odmówiono – opowiada. – Po 15 latach mógłbym wyjść z przymusową deportacją, dziś byłbym wolnym człowiekiem. Byli przekonani, że w Polsce będę siedział tyle samo, co w Niemczech.

Nie czekał na „warunkowe”, już w chwili osadzenia w Niemczech próbował zabiegać o uwolnienie. Wszak czuł się niewinnym i był niewinny tej zbrodni. Jego adwokatka odwoływała się od wyroku, w odpowiedzi sąd wyrok podtrzymał.

– Wciąż z tym samym uzasadnieniem, że byłem tam i to zrobiłem – przytacza. – Kiedy przyjechałem do Polski, nie przestałem walczyć, starałem się zainteresować moją sprawą organy śledcze. W konsekwencji prokuratura w Tarnobrzegu trafiła na ślad Lisa, ustalili jak się rzeczywiście nazywa, gdzie mieszka. Naprawdę wykonali żmudną i niestety szarym pracą. Przekazali jego dane Niemcom, stamtąd przyjechał do Polski cały sztab prokuratorów. W przy nich przesłuchiwany Lis po raz pierwszy wyraźnie i nie raz stwierdził: „Pytel nie miał z tym nic wspólnego, nie wiedział, co zrobiłem”. I kiedy polska prokura-



Piotr Pytel zgodził się na upublicznienie jego personaliów i wizerunku. Po ponad dwóch dekadach spędzonych za kratami po raz pierwszy dzieli się publicznie swoimi myślami i nadziejami na odzyskanie wolności. Poruszająca rozmowa, którą nagraliśmy za więziennym murem, dostępna jest na portalu nowiny24 oraz na nowinowym kanale YouTube

tura wysłała w 2013 roku swoje akta do Niemiec, wraz z prośbą o przyjrzenie się mojej sprawie raz jeszcze, na podstawie zupełnie nowych dowodów, które ustalili, otrzymali odpowiedź, że jestem złym człowiekiem i mam to, na co zasłużyłem. A poza tym nowe ustalenia polskiej prokuratury nie są dla nich żadnym dowodem.

Po raz ostatni napisał prośbę do niemieckiego sądu w 2022 r. o możliwość przydzielenia mu adwokata z urzędu. Odpowiedź odmowna. Potem dał sobie spokój z tamtejszym sądem i prokuraturą.

- Dla nich sprawa jest definitywnie skończona, po przewiezieniu do Polski podlegam polskiej jurysdykcji i koniec tłumaczy. - Praktyka tam jest taka, że po wydaleniu cudzoziemca zamykają sprawę, jest definitywnie zamknięta i nie ma o czym rozmawiać. Wyczuwa się ich niechęć do przyznania się do błędu. A kiedy polska prokuratura napisała

do nich wnioski o wznowieniu procesu, zacząłem z Niemiec dostawać rachunki kosztów procesu. Dotychczas nabierało się ze 200 tysięcy euro plus odsetki.

Emocje człowieka (nie)winnego za kratami

Jest niewinny sprawstwa zabójstwa, wie, kto naprawdę zabił, mówi o tym, nikt mu nie wierzy, oskarżają i karzą więzieniem na resztę życia. Co się wtedy i potem czuje?

- Trudno opisać - odpowiada. - Nie wiem, na pewno przygnębienie, pewnie złem myśli wracają, jak bumerang. Zawsze byłem człowiekiem wierzącym, wiara i boża opatrność są dla mnie oparciem, cokolwiek by się działo. Wiara w to, że kiedyś prawda musi ujrzeć światło dzienne.

Jego mama trzykrotnie zwracała się do poprzedniego prezydenta RP o prawo łaski dla syna, za każdym razem wzbierała w nim fala nadziei.

- Że coś się wreszcie rozstrzygnie - mówi. - I za każdym razem czegoś im brakowało, coś nie pasowało, choć nikt nigdy mi nie uświadomił, dlaczego nie zasługuję na ulaskawienie. Wysłałem czwartą prośbę, do tej też przychyliły się sądy okręgowy i apelacyjny. I czekam. Co więcej mogę zrobić, jestem tylko zwykły człowiekiem. Chcę starać się o wznowienie procesu przed niemieckim sądem, procesu sprawiedliwego i rzetelnie przeprowadzonego, ale bardziej prawdopodobne i szybsze wydaje się uzyskanie prawa łaski.

Praca w więziennym warsztacie konserwatorskim pozwala mu zabić trochę czasu, którego przecież ma coraz mniej. Nigdy nie zaakceptował obecnej swojej sytuacji i jej przyczyn.

- Nadzieja unosi się falami i opada - przyznaje. - Liczę się z tym, że i tym razem odmówione mi zostanie prawo łaski, chyba wszystko już sobie wyobrażam. Może się zda-

żyć, że wszystkie te zabiegi nigdy nie skończą się dla mnie pozytywnie.

Według znowelizowanego przez ministra Zbigniewa Ziobrę prawa będzie mógł się ubiegać o warunkowe przedterminowe zwolnienie w 2034 roku, przed nowelizacją było to możliwe kilka lat wcześniej. To też nim mocno tępięło. A i wcześniej brakowało organom polskim zdecydowania w działaniach na rzecz „wyprostowania” wyroku niemieckiego sądu, tak czuje. Bo tylko niemiecki sąd ma władzę go uniewinnić.

- Może jednak wcześniej w Niemczech coś się wydarzy, może ktoś nad moją sprawą zechce się pochylić - mówi, ale po wcześniejszych doświadczeniach chyba niewiele w tym pokłada nadziei. - Ale wiem, że po tylu latach wreszcie „coś drgnęło” po stronie polskiej, w naszym wymiarze sprawiedliwości. Wiem, że mój przyjaciel miał spotkanie z panem ministrem Waldemarem Żurkiem, który obiecał

TRAFIŁEM W MIEJSCE, KTÓRE CZŁOWIEKA WYJAŁAWIA, WYCISKA Z CZŁOWIEKA WSZYSTKO, NAJWIĘKSZEMU WROGOWI NIE ŻYCZĘ, BY TUTAJ TRAFIŁ

wnikliwie przyrzeć się sprawie. Pani wiceminister Maria Ejchart i pani prokurator Ewa Wrzosek też się w tę sprawę zaangażowały. I znów fala nadziei, że może tym razem...

Wie, ile stracił przez 22 lata za kratami.

- Staram się o tym nie myśleć, ale to powraca - niechętnie przyznaje. - Na pewno brak kontaktu z rodziną, wszystko, co przez ten czas mogłem zrobić, brak możliwości założenia własnej rodziny, czasem myślę, co osiągnęli moi znajomi z lat młodości - trudno mu to wszystko wyliczać. - Mam za to dużego guza tarczycy, który trochę przesunął mi tchawicę, no i ciężką postać astmy. Staram się tego upływu czasu nie analizować, wciąż czuję się tak, jakby 23 lata temu czas się dla mnie zatrzymał, jakby funkcjonował w zawieszeniu w czasie. A przecież nie zatrzymał się. Czasem doświadczam dysocjacji, odrywam się od własnych myśli, emocji, popadam w takie emocjonalne otępienie.

Nadzieja, że w końcu „wyjdzie”. Co potem?

Do przeszłości, która skończyła się więzieniem, niechętnie wraca: „burzliwa była, w ogóle czasy były wtedy burzliwe, ale dziś bardzo jej się wstydę”. O przyszłości niewiele ma do powiedzenia. Tym bardziej, że pewności nie ma, że przyszłość będzie.

- Nie mam żadnych planów, może tyle, że będę współpracował z przyjacielem, który ma dużą firmę, a konfrontacji z rzeczywistością po tylu latach zamknięcia też się nie obawiam - zapewnia. - Może świat przez ten czas aż tak bardzo się nie zmienił. Na pewno jedną z pierwszych rzeczy, jaką zrobię, to pojadę do Częstochowy.

Nawet nie musi mówić, do kogo i po co. Tyle że o przeszłości zapomnieć się nie da. Na pewno nie, jeśli chodzi o bliskich. Nie o reakcji bliskich na wieść o jego zatrzymaniu, procesie, wyroku. To w nim wciąż siedzi.

- Mama płakała, histerycznie płakała - wspomina. - Staralem się ją pocieszać, że dożywocie w Niemczech jest do wytrzymania, że te 15 - 16 lat do zwolnienia warunkowego mógłby człowiek wytrzymać. Mam rodzeństwo, zaopiekowało się mamą, brat

przyjeżdżał do mnie w odwiedziny do niemieckiego więzienia. Listy od matki, ja do niej też pisałem. Pisała, żebym się nie poddawał, nie tracił wiary, bo kiedyś to wszystko przecież musi się wyjaśnić. Nigdy nie uwierzyli, że mógłbym zrobić coś tak potwornego. Tym bardziej trudno mi się pogodzić z tym, co się stało. W ogóle gdyby nie rodzina i przyjaciele, to pewnie bym się załamał. W chwilach kryzysu czasem coś we mnie krzyknie, że - nie, nie, nie, to jeszcze nie koniec.

Przyznaje, że na początku był pełen złości za całą tę niesprawiedliwość, nie zionął agresją, raczej zamykał się w sobie, uciekał w głąb siebie.

- Trafiłem w miejsce, które człowieka wyjaławia, wyciska z człowieka wszystko, największemu wrogowi nie życzę, by tutaj trafił, ale tłumaczę sobie, że dano mi czas na przemyślenia, postanowienia, nakreślenia swojej nowej drogi - racjonalizuje sobie pobyt za kratami.

Z wahaniem przyznaje, że ją sobie wytyczył, tylko „to jest tak odległe, że wolę o tym nie myśleć”.

- Żyję dniem dzisiejszym - deklaruje. Jakby na potwierdzenie, że o przyszłości mówi jeszcze mniej chętnie niż o przeszłości.

APELUJEMY O ULASKAWIENIE

To kolejna już publikacja, w której opisujemy kuriozalny wyrok i niechęć niemieckiego wymiaru sprawiedliwości do przyznania się do błędu. Najprostszą i najszybszą ścieżką do uwolnienia osadzonego w rzeszowskim więzieniu byłby akt łaski Prezydenta RP. Poprzedni prezydent Andrzej Duda trzy razy odmówił ulaskawienia. W styczniu br., po nagłośnieniu tej bulwersującej sprawy przez portal nowiny24, odbył się na rzeszowskim Rynku wiec poparcia dla osadzonego Rzeszowianina. Manifestujący domagali się prezydenckiego aktu łaski. Apelujemy do prezydenta Karola Nawrockiego, by ulaskawił człowieka, który od ponad 20 lat odsiadywa karę za czyn, którego nie popełnił.



FOT. BARTOSZ SADOWSKI

Monika Kuszyńska dwadzieścia lat temu uległa ciężkiemu wypadkowi. Po długiej rehabilitacji, dzięki determinacji, odwadze, muzyce i miłości odzyskała swoje życie i należy do najbardziej inspirujących artystek na naszej scenie

ODRODZENIE ZACZYNA SIĘ OD POKOCHANIA. SIEBIE I DRUGIEJ OSOBY

Historia jednej z najbardziej życzliwych świata polskich wokalistek pokazuje, że muzyka, miłość, determinacja i bliskość mogą wydzwignąć z najczarniejszej rozpacz

Dariusz Pawłowski

Nie jest odkrywczą prawdą, iż życie wywraca do góry nogami jedna, niezapowiedziana chwila, lecz biografie wielu osób nieustannie niosą tegoż potwierdzenie. Ważne jest jednak to, co wydarzy się potem. Ile wysiłku i determinacji potrafimy włożyć w to, by cierpienie nie stało się zamknięciem.

Dwadzieścia lat temu, 28 maja 2006 roku, łódzki zespół Varius Manx, wówczas jeden z najpopularniejszych w Polsce, w deszczową niedzielę rano wracał z sobotniego koncertu w Miliczu. Auto prowadził lider formacji Robert Janson, razem z nim podróżowali wokalistka grupy Monika Kuszyńska oraz gitarzysta i realizator dźwięku. W pewnym momencie samochód wpadł w poślizg na mokrej nawierzchni i po dachowa-

niu uderzył w drzewo. Ciężko ranną Monikę Kuszyńską przewieziono do szpitala na oddział neurochirurgii. Artystka przeszła skomplikowaną, 6-godzinną operację kręgosłupa (operowano także Roberta Jansona). Jednak w wyniku przetrwania rdzenia kręgowego nastąpił paraliż dolnych partii ciała i od tego czasu Monika Kuszyńska porusza się na wózku inwalidzkim. Po długiej rehabilitacji wróciła do życia publicznego, występowała w mediach, zrobiła wiele, by zainspirować innych do walki o siebie i swoją przyszłość. Po trzech latach od wypadku znów zaczęła śpiewać.

Monika Kuszyńska nie kryła, że pierwsze miesiące po wypadku były dla niej traumatyczne, nie mogła pogodzić się ze swoim stanem. Gdy usiadła

na wózku, lękała się opuszczać dom, miała obawy, że ludzie na ulicy będą ją obserwować, komentować jej sytuację. Trudno nawet wyobrazić sobie, co musiała przejść, jaką drogę pokonać, by odnaleźć w sobie siłę na odrodzenie. Teraz może sobie pozwolić na to, by nie wracać myślami do przeszłości.

Monika Kuszyńska urodziła się w Łodzi i zawsze czuła silny związek z tym miastem. Wychowała się w blokowisku przy ulicy Hibnera (obecnie Waryńskiego) na Kozinach. Ukończyła XXI Liceum Ogólnokształcące im. Bolesława Prusa, a następnie uzyskała tytuł magistra sztuki (specjalizacja: muzykoterapeuta) łódzkiej Akademii Muzycznej. Ma młodszą o pięć lat siostrę, Martę, absolwentkę łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych i psycholożkę, która jest

cenioną projektantką mody (pod własną marką), ale tworzy też biżuterię z kamieni.

Monika Kuszyńska debiutowała w dziecięcym zespole Uśmiech Pana Karola, w liceum udzielała się w szkolnym chórze i teatrze, brała udział w konkursach recytatorskich, ale profesjonalną karierę zaczęła jako wokalistka zespołu Fahrenheit. Pod koniec 2000 roku została wokalistką Varius Manx, zaczęła pisać teksty piosenek. Nagrała z Variusami albumy „Eta”, „Eno”, „Emi”. Wspólnie z piosenką „Moje Eldorado” zdobyli pierwszą nagrodę w finale Festiwalu Piosenki Krajów Nadbałtyckich w Karlshamn.

Aż...

Po wypadku do nagrania nowej piosenki namówiła ją w roku 2009 wokalistka Beata Bednarz, na której albumie „Pa-

sja miłości” znalazł się napisany i wykonany przez Monikę Kuszyńską utwór „Nowa rodzę się” z budującymi słowami: „Jak dobrze jest, wolnym od lęku budzić się, i wiedzieć, że ból odejdzie, spokój w sobie mieć”.

Pierwszy krok został zrobiony, od tego momentu nie brakowało wydarzeń symbolicznych. W 2010 roku Monika Kuszyńska wystąpiła po raz pierwszy od wypadku publicznie w telewizji - śpiewając w programie „Dzień dobry TVN”. W tym samym roku była jurorką podczas 6. Festiwalu Zaczarowanej Piosenki w Krakowie, a we wrześniu w ramach Europejskiego Festiwalu Filmowego „Integracja Ty i Ja” w Koszalinie zagrała pierwszy koncert po wypadku.

Okazało się, że fani czekali, muzyka pozostała spełnieniem. W czerwcu 2012 roku wystąpiła z piosenką „Ocaleni”, nagrałą z łódzkim chórem z telewizyjnego programu „Bitwa na głosy”, w konkursie „Premiery” podczas 49. Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, a dziesięć dni później wydała pierwszy, solowy album studyjny zatytułowany „Ocalona”. Dwa lata później kolejną przejmującą chwilą - artystka wystąpiła podczas 51. KFPP w Opolu, w którego trakcie zaśpiewała utwór „Moja i twoja nadzieja” w ramach koncertu pod hasłem „25 lat! Wolność - kocham i rozumiem”. Nadzieja nie tylko wróciła, ale „uczyniła realnym krok w chmurach”.

W roku 2015 była reprezentantką Polski w 60. Konkursie Piosenki Eurowizji w Wiedniu. W tym samym roku ukazała się autobiograficzna książka Moniki Kuszyńskiej „Drugie życie” - wywiad rzeka przeprowadzony przez Katarzynę Przybyszewską. Rozpoczęły się kolejne nagrania, występy, liczne akcje charytatywne i kampanie społeczne, telewizyjny cykl przedstawiający inspirujące historie ludzi, wyjątkowe projekty. Artystka była też mentorką w programie typu talent show TTV - „Usłyszcie nas!”.

W kwietniu 2018 roku wokalistka wróciła do Milicza, po dwunastu latach od wypadku. „Tu skończyło się moje pierwsze życie” - powiedziała ze sceny. W tym momencie Monika Kuszyńska w pełni budowała już swoje drugie życie.

W tym miejscu pojawia się jeszcze jedna myśl wypowiedziana wiele razy, a przez to tak piękna i niezmiennie prawdziwa. O miłości, która nas zmienia, tworzy, obdarowuje mocą i sensem. Uzmysławia, że najważniejszą jest, cierpliwą jest, łaskawą jest... nie szuka poklasku, nie unosi się pychą... wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma... i tak dalej.

W lipcu 2011 roku Monika Kuszyńska poślubiła ukochanego mężczyznę, ale i wielkie-

go przyjaciela - znakomitego, niezwykle wrażliwego saksofonistę, kompozytora i aranżera Jakuba Raczyńskiego. Małżonkowie zamieszkali w Tuszynie pod Łodzią, mają dwoje dzieci: 9-letniego dziś Jeremiego oraz 7-letnią Kalinę.

Poznali się jeszcze w zespole Varius Manx - Jakub Raczyński dołączył do grupy w 2001 roku, ale po czterech latach odszedł. „Widziałam w nim świetnego muzyka, saksofonistę, fajnego, wesołego kolegę... i tyle” - wspominała ten czas Monika Kuszyńska.

Po wypadku Kuba próbował skontaktować się z Moniką. Nie udało się, jej telefon milczał, artystka mieszkała wtedy w Białym-Białej. „Po raz drugi pojawił się w moim życiu niecałe dwa lata po wypadku. Kiedy stanął w drzwiach 14 stycznia, w moje urodziny, z naręczem żółtych tulipanów, poczułam wiosnę w środku zimy” - powiedziała wokalistka w jednym z wywiadów.

„Dzięki Kubie odzyskałam kobiecość” - wyznała Monika. Razem zaś pozyskali własną muzykę i plany na resztę życia. Wspólnie napisali piosenkę „In the Name of Love”, którą Monika śpiewała w Konkursie Eurowizji, razem przygotowali album „Ocalona”. Mają mnóstwo pomysłów.

Czas po wypadku Monika Kuszyńska wspomina obecnie jako okres smutku i beznadziei. „Nie wierzyłam, że z tego wyjdę, nie potrafiłam patrzeć w lustro, nie wyobrażałam sobie powrotu na scenę, byłam przekonana, że wypadek i wózek odebrały mi kobiecość, urodę, szansę na dobre życie, macierzyństwo” - powtarza pytana o odczucia w tamtych dniach. Czarne myśli, które oplatają niejednego człowieka - ba, także o znacznie mniej dojmujących doświadczeniach.

Tymczasem dziś opowieść Moniki Kuszyńskiej to emocje szczęśliwej, spełnionej kobiety, artystki, poszukującej nowych wyzwań, form twórczej wypowiedzi. To osiągnięcie jest nie tylko jej ogromnym, osobistym sukcesem, ale również wielkim darem dla wszystkich pograżonych w ciemności. Odrodzenie jest możliwe, trzeba dać sobie tę możliwość. Przyjął wsparcie, które na tej drodze jest nam oferowane, by następnie oddać je kolejnym potrzebującym. Że banałem to podszycie? No jak owe prawdy życia największe.

Monika Kuszyńska regularnie koncertuje i pracuje obecnie nad nowymi piosenkami. Kuba Raczyński natomiast ogłosił, że cała rodzinna czwórka przeprowadziła się do Warszawy. Cóż, są muzykami, nie tylko z pasji - to także, a może przede wszystkim, ich praca. Stolica w tej branży to większe możliwości. I tę decyzję uznajemy za początek „trzeciego życia”, nowego etapu w tej mobilizującej historii.



Wesołego Alleluja!

Z okazji Świąt Wielkanocnych wszystkiego
co najlepsze, rodzinnej atmosfery,
szczęścia osobistego, pogody ducha, spokoju,
harmonii i radości
oraz naszych polskich mlecznych smakowitości
na suto zastawionych stołach

życzy

Dariusz Szpiński

Prezes Zarządu Grupy MLEKOVITA



www.mlekovita.com.pl

O cenie niezależności, rozczarowaniach show-biznesem, piosenkach, które przetrwały próbę czasu, i o tym, dlaczego nie wierzy w żadne wielkie powroty. – Zawsze się za coś płaci. Zależni też płacą, tylko więcej – mówi Krystyna Prońko, piosenkarka i kompozytorka

Anita Czupryn

KRYSTYNA PROŃKO: PUBLICZNOŚĆ JEST DLA MNIE NIEZWYKLE ŁASKAWA



Prońko: Szłam za głosem serca. I do dziś tak mam

Jakie jest Pani pierwsze wspomnienie muzyczne?
Chodziłam do szkoły muzycznej, więc moje najwcześniejsze wspomnienie muzyczne wiąże się z przedszkolem muzycznym. Do dziś pamiętam nazwisko pani, która uczyła nas w tym przedszkolu solfeżu, i to nie tylko w przedszkolu, bo i pierwszych, drugich klasach szkoły muzycznej w Gorzowie, a chyba nawet i do końca. To była pani Skazińska. Z perspektywy czasu oceniam, że znakomicie wyprowadziła nas na ludzi muzycznych. Umiała do nas trafić. Docierało

do mnie wszystko, co nam pokazywała na tych zajęciach. Pamiętam choćby metodę koloryzacji dźwięków; każdy dźwięk miał inną barwę. To owocuje do dzisiaj, skoro takie rzeczy zostają w człowieku.

Pochodziła Pani z muzycznej rodziny?
Zdecydowanie nie.

To skąd więc pomysł, żeby posłać Panią do przedszkola muzycznego?
Mam w domu zdjęcia mojej mamy z harmonią albo tańczącą jakieś klasyczne układy.

Pewnie chodziła na balet, bo wtedy niektórzy rodzice posyłać dziewczynki na takie zajęcia. Nie wiem dokładnie, bo nigdy specjalnie się tym nie interesowałam. Ale jeśli chodzi o tradycje muzyczne w sensie takim, że ktoś wcześniej był muzykiem, to nic o tym nie wiem.

Pani bracia grali na instrumentach. Oni również chodzili do szkoły muzycznej?
Tak. Rodzice posyłać nas wszystkich po kolei. Sprawdzali chyba nasze zdolności, może nie tyle zainteresowania,

ale właśnie predyspozycje. Ale jednocześnie każde z nas miało obowiązek zdać maturę w normalnej, zawodowej szkole. Ja na przykład mam maturę z chemii i mogłam wtedy pracować, bo teraz już nie, jako laborantka.

I pracowała Pani w sanepidzie, w laboratorium.
Pracowałam nie tylko w sanepidzie, bo i w paru innych miejscach. Ale to wszystko było w ramach stażu pracy. Kiedy ten obowiązek wobec państwa się skończył, zaczęłam po prostu robić coś innego.

Poszła Pani do technikum chemicznego, bo w domu był taki etos, że praca jest ważna?
Takie było życzenie rodziców, żebyśmy wszyscy pokończyli jakieś zawody. I pokończyliśmy. Chyba tylko Wojtek skończył szkołę zawodową, dokładnie nie pamiętam. Ale Piotrek skończył technikum elektromechaniczne, potem poszedł na studia muzyczne. Ja byłam po technikum chemicznym i też poszłam na studia muzyczne. Wojtek natomiast na żadne studia nie poszedł, ale był jednym z lepszych basistów w Polsce, jeśli nie najlepszym w tamtych czasach.

Pani też chciała iść do technikum elektromechanicznego? To po bracie?
Jestem starsza od Piotra. Mnie po prostu zawsze interesowało to, że prąd w kablu płynie, że mogę coś sama naprawić, coś zbudować, pozwijać kable. W każdym razie nie boję się tego świata.

I do dziś, jeśli coś trzeba naprawić, to Pani to robi?
Zdaję sobie sprawę z siły, która tkwi w kablu przewodzącym prąd, więc podchodzę do tego z ostrożnością i dystansem. Żelazka już bym nie naprawiła.

Trudno mi sobie wyobrazić, że pracuje Pani w sanepidzie, w laboratorium. Podobała się Pani ta praca?

Nie, dlatego przestałam pracować w tym zawodzie. Dostałam propozycję współpracy z nowym zespołem. A byłam już wtedy zaawansowaną amatorką w śpiewaniu, miałam za sobą sporo nagród, wiele koncertów, ciągle granie gdzieś po okolicy, w domach kultury, na różnych lokalnie organizowanych występach. Czyli jakieś doświadczenie już miałam, może niewielkie, ale jednak. Ktoś zauważył mnie na którymś z ogólnopolskich koncertów i zaprosił do współpracy przy nowo powstającym zespole w Rzeszowie. Kierownikiem muzycznym i takim duchem sprawczym był tam Antoni Kopff. Już nie żyje. Antek zebrał grupę ludzi, w tym jednego z moich braci. Wojtek też początkowo z nami był, ale coś się później stało, już dokładnie nie pamiętam, co, i ostatecznie go w tym zespole nie było. Potem i Piotrek zrezygnował ze współpracy. A ja zostałam. To był duży skład: trzy dziewczyny, cztery instrumenty dęte, sekcja rytmiczna z gitarą. Kilka tygodni po rozpoczęciu współpracy przyjęliśmy nazwę Respekt. I właściwie przez pół roku bardzo dużo się wydarzyło. Pamiętam, że w maju 1970 roku zagraliśmy trasę koncertową z Czesławem Niemenem, bo szukał supportu i padło na nas. Nie wiem, kto i jak to załatwił, w stu procentach nie był to wybór Czesława, ale nas zaakceptował.

Potem nagraliśmy epkę z czterema piosenkami, w tym dwiema mojej kompozycji. Płyta nazywała się po prostu „Respekt” i wydały ją Polskie Nagrania. Nie wiem, czy ten krążek w ogóle przetrwał, ale jedną z moich piosenek z tej płyty znalazłam zupełnie przypadkiem wiele lat później w repertuarze któregoś z przedstawień Teatru Buffo. To było może piętnaście, dwadzieścia lat temu. Ten utwór przypomniał sobie Krzysztof Materna, który prowadził nasze koncerty z Czesławem Niemenem. Zapamiętał tę piosenkę i po latach ją wykorzystano.

W historii z Czesławem Niemenem ciekawe jest pytanie, czy istnieje przypadek, czy raczej przeznaczenie. Bo później okazało się, że Niemen trafił do Pani domu i do serca Pani ojca.

To stało się dość szybko, bo już w maju 1970, na tej trasie, gdzie byliśmy supportem w koncertach Czesława. A jeszcze wcześniej moi rodzice, trochę za naszą namową, chodzili z nami na wszystkie ważniejsze i mniej ważne wydarzenia muzyczne, które się odbywały w Gorzowie. Ojciec był z nami na koncertach, zawoził nas, przywoził do domu. Siłą rzeczy zaczął się tym trochę interesować. Mama chyba też go do tego mobilizowała. W każdym razie jakoś się w tym wszystkim dogadywali. Efekt był taki, że kiedy graliśmy na jednej scenie z artystami znanymi już wtedy w Polsce, mogliśmy zaprosić ich do domu na obiad. I tak robiliśmy. Tak samo było z Czesławem. Przyjechałam do Gorzowa z programem, w którym występował, więc zaprosiłam jego i jeszcze kilka osób, nie wszyscy chcieli przyjść - i ten obiad się odbył. A ponieważ Czesław lekko zaciągał, mój ojciec też lekko zaciągał, więc natychmiast się rozpozнали. I tak jak wcześniej ojciec Czesława nie akceptował, tak po tym spotkaniu zaakceptował go z nawiązką. Bardzo go polubił i przestał mi już ciosać kolki na głowie, co ja tam właściwie wyśpiewuję.

1972 rok, czyli pierwsze Opole. Jak Pani je wspomina?
Najbardziej pamiętam przymiarki kostiumu, bo nie miałam się w co ubrać. Wymyśliłam sobie czarny kostium: bluza i spodnie, a do tego dużo koralików. I tak właśnie było. Te koraliki mam do dziś. Nie wszystkie, bo część się pozrywała, ale sporo zostało. Całą tę sytuację od początku do końca poprowadziła Estrada Poznańska i ówczesny dyrektor, pan Napierała. A zaczęło się od tego, że mój brat Piotrek pracował tam jako muzyk w zespole. Opowiadał o mnie, opowiadał, aż w końcu padło pytanie, czy dalszy na str. 24

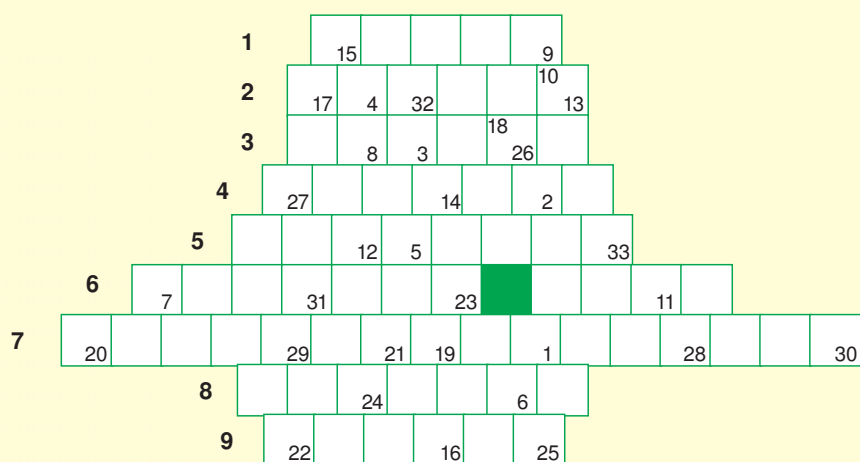


POSEŁ NA SEJM RP

Jerzy Materna



KRZYŻÓWKA WIELKANOCNA



I. Rozwiąż krzyżówkę.

II. Odczytaj hasło, wpisując w odpowiednie rubryki oznaczone w krzyżówce litery.

- Niezbędne w koszyczku wielkanocnym symbolizują zwycięstwo nad śmiercią oraz odradzające się życie.
- Kwiat z rodziny narcyzów kojarzony z radością, nadchodzącą wiosną i odrodzeniem, dzięki swojemu żółtemu kolorowi i kwitnieniu w okresie świątecznym.
- Kluczowy element tradycji Wielkiej Soboty w Polsce wypełniony pokarmami.
- Ciasto pieczone w okresie Wielkanocy.
- Jeden z najważniejszych, mięsnych elementów polskiego stołu świątecznego, tradycyjnie dodawany do żurku lub podawany jako samodzielne danie.
- Nabożeństwo pasyjne odprawiane w czasie Wielkiego Postu mające zwykle formę nabożeństwa eucharystycznego.
- Fundamentalne wydarzenie chrześcijaństwa oznaczające powrót Jezusa do życia trzeciego dnia po śmierci na krzyżu. Jest ono uznawane za triumf nad grzechem i śmiercią.
- Kluczowy symbol chrześcijański oznaczający Jezusa Chrystusa, który jako niewinna ofiara przełał krew dla odkupienia ludzkości z grzechów.
- Jeden z dwunastu apostołów. Wydał Jezusa Sanhedrynowi.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16

REBUS DLA DZIECI:

- Rozwiąż rebus.
- Odczytaj hasło.
- Dowolną techniką plastyczną stwórz pracę na temat związany z hasłem z rebusu.



DŁUGO + BAN + SUKIEN A = I

ODCZYTAJ HASŁO

Szanowni Państwo,

Święta Wielkiej Nocy są symbolem zwycięstwa dobra nad złem i w tym kontekście warto spojrzeć na otaczającą nas rzeczywistość.

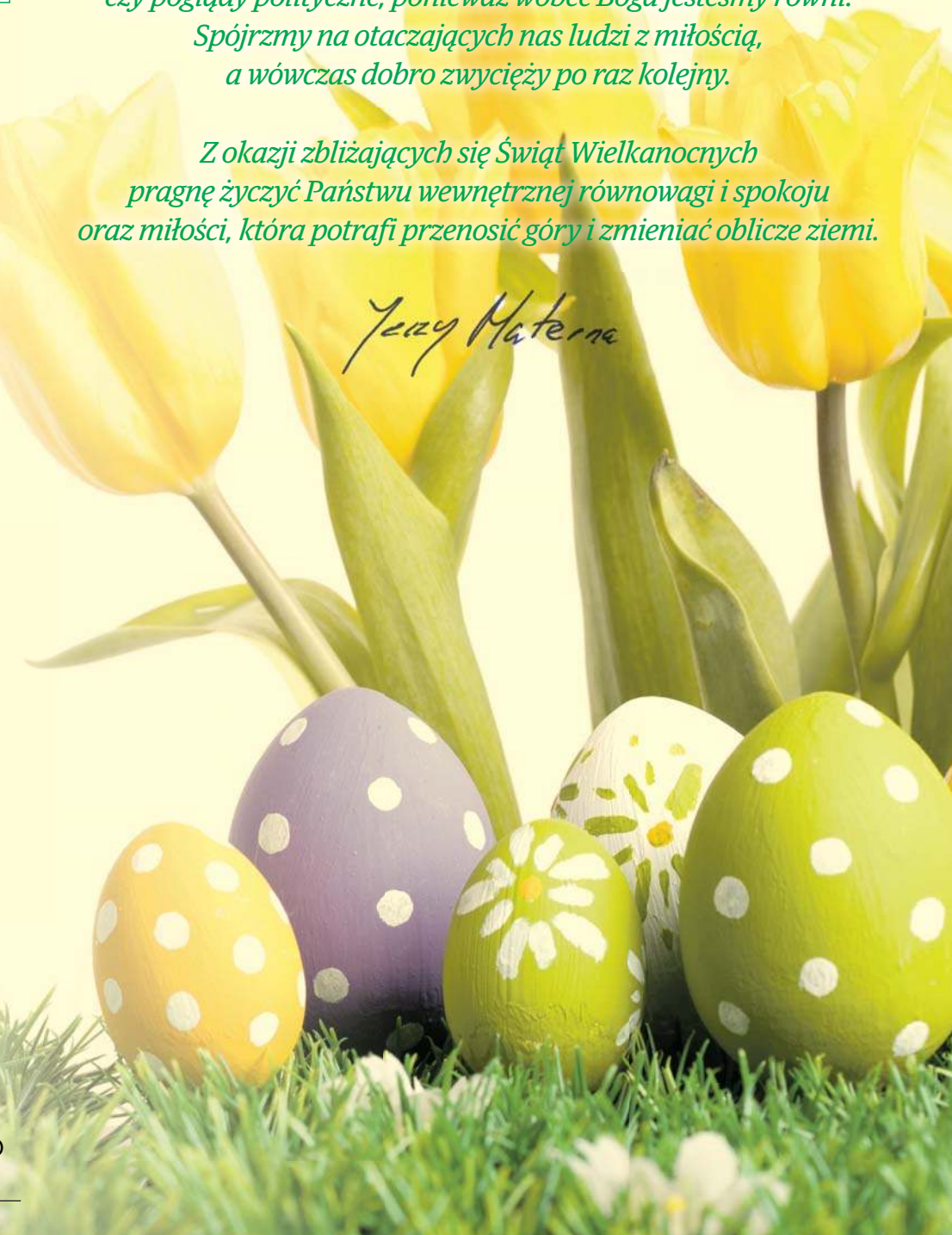
W dobie konfliktów zbrojnych, wewnętrznych sporów i społecznych nierówności czasem zapominamy, że Jezus poniósł śmierć na krzyżu za nas wszystkich.

Mając to na uwadze musimy pamiętać, że nie ma znaczenia pochodzenie czy poglądy polityczne, ponieważ wobec Boga jesteśmy równi.

Spójrzmy na otaczających nas ludzi z miłością, a wówczas dobro zwycięży po raz kolejny.

Z okazji zbliżających się Świąt Wielkanocnych pragnę życzyć Państwu wewnętrznej równowagi i spokoju oraz miłości, która potrafi przenosić góry i zmieniać oblicze ziemi.

Jerzy Materna



Dla właścicieli to więcej niż pojazdy. To projekt. Pasja. Obsesja!

eż
ewelina.zuberek@polskapress.pl

Są samochody i motocykle, które służą tylko do jazdy. I są takie, które robią coś znacznie więcej - robią wrażenie! Przyciągają spojrzenia, zatrzymują na chwilę i są pasją właścicieli.

Tych, dla których ich samochód lub motocykl to coś wię-

cej niż tylko środek transportu, zaprosiliśmy do udziału w kolejnej odsłonie konkursów ALE FURA! i ALE MOTOR!, w ramach plebiscytu Mistrzowie Motoryzacji.

Spójrzcie na te zachwycające maszyny, które już biorą udział w akcji, a które ktoś wybrał albo „same znalazły” właściciela. Czasem były marzeniem od lat. Czasem porywem serca, który przerodził się

w przygodę na lata. Czasami pozostały nietknięte, a czasami zmieniały się - dopracowywane, poprawiane. Zawsze wychowane. Dla miłośników takich pojazdów lakier nie jest po prostu „czarny”. On ma odcień, o którym można rozmawiać godzinami. Ryk silnika to najpiękniejsza muzyka. Detale, dla jednych niezauważalne, dla nich są radością dla oczu. Bo dla właścicieli takie auto czy moto-

cykl to więcej niż pojazd. To projekt. To pasja. To trochę jak miłosa obsesja. Coś, czym chce się pochwalić - i teraz jest to możliwe! - Wspólnie stworzymy wyjątkową galerię samochodów i motocykli z naszego regionu - maszyn z duszą, historią i charakterem. Takich, z których właściciele są naprawdę dumni - mówi Daria Jankiewicz-Kaczmarek, która jest odpowiedzialna za realiza-

cję Mistrzów Motoryzacji we wszystkich gazetach Polska Press Grupy. Pierwsze dni głosowania za nami, dlatego dziś podziwiamy pierwszych liderów kolejnej odsłony konkursów ALE FURA! i ALE MOTOR! W głosowaniu Czytelników wyłonimy te pojazdy, które staną się... gwiazdami! Bo trafią i do wyjątkowego kalendarza na 2027 rok, i na okładkę specjalnego dodatku do naszej gazety

podsumowującego akcję Mistrzowie Motoryzacji. Awansują też do ogólnopolskiego finału, gdzie powalczą o tytuły Fura Roku i Motor Roku, by poznała je cała Polska! Chcemy też pisać o tych cudach motoryzacji, dlatego... Jeśli już startujecie w akcji, opowiedzcie swoją historię. A jeśli jeszcze nie bierzecie udziału, ciągle możecie się zgłosić! **Więcej na www.gazetalubuska.pl/moto**

LIDERZY W KATEGORII ALE FURA!



1. Ford Excursion, V10, 2001, Przemysław Goławski, Gorzów Wielkopolski



2. Fiat 126 Berlina, 1976, Krzysztof Krawczyk



3. Ford Mustang, 1968, Janusz Tyczynski, Henryków



4. Opel Vectra B, Damian Majorczyk



5. Chevrolet Cheyenne, 1976, Marcin Mierkiewicz



6. Volkswagen Polo IV, 2007, Paulina Jaroszczek, Rzepin



7. BMW e87, 2007, Igor Fertala, Bukowice



8. Syrena 105L, 1979, Maciej Strzech, Łagódzin



9. MERCEDES W220, 1999, Radosław Wróblewski, Gorzów Wielkopolski



10. Honda prelude 3gen 1990, Piotr Ułasewicz gorzów Wielkopolski

LIDERZY W KATEGORII ALE MOTOR!



1. Kawasaki z900 se, 2024, Kamil Mostowski, Nowa Sól



2. Ducati Panigale V2, Krzysztof Sławicz



3. Moto Guzzi V100 Mandello, 2025, Piotr Dąbrowski, Gorzów Wielkopolski



4. BMW R9T, Filip Karmelita, Gorzów Wielkopolski



5. Suzuki gs500, 2008, Anna Szpigun, Nowa Sól



6. BMW R1200RT, 2005, Robert Sobczak, Żary



7. Honda VTX 1800, Vitalii Illnitskyi



8. Yamaha v star 650, 2007, Anna Harber, Nietkowice



9. Honda Goldwing 1800, 2023r, Zdzisław Olbiński



10. KTM 1290 Super Duke R Evo, 2022, Marcin Klocek, Rzepin

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne lub nekrolog?

Przez internet: ibo.polskapress.pl
e-mail: bo.gazetalubuska@polskapress.pl

NASZE BIURA OGŁOSZEŃ

ZIELONA GÓRA al. Niepodległości 25
czynne pon.-pt. 8.00-15.00
tel. 510 026 518
e-mail: bo.gazetalubuska@polskapress.pl

GORZÓW WLKP. ul. Sikorskiego 111 (Park 111, II p.)
czynne pon.-pt. 8.00-16.00
tel. 510 026 986
e-mail: bog.gazetalubuska@polskapress.pl

SŁUBICE ul. T. Kościuszki 6/1
czynne pon.-pt. 8.30-16.30
tel. 95 75 80 760
e-mail: bos@gazetalubuska.pl

RUBRYKI I PODRUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH

NIERUCHOMOŚCI	• lokale użytkowe - do wynajęcia	• elektronika, komputery	• tekstylia, odzież
• mieszkania - sprzedam	• lokale użytkowe - wynajmę	• telefony	• dla dziecka
• mieszkania - do wynajęcia	• lokale użytkowe - zamienię	• car audio	• meble
• mieszkania - wynajmę	• działki, grunty - sprzedam	• antyki	• inne
• mieszkania - zamienię	• gospodarstwa	• kolekcjonerstwo, sztuka	
• domy - sprzedam	• garaże	• jubilerstwo	
• domy - do wynajęcia	• pośrednictwo	• filmy, muzyka	
• domy - wynajmę	• inne	• foto, książki	
• domy - zamienię	• bank stancji	• instrumenty muzyczne	
• lokale użytkowe - sprzedam		• lombardy	
• lokale użytkowe - kupię		• sport i rekreacja	
		• maszyny urządzenia	
		• materiały budowlane	
		• materiały opałowe	

MOTORYZACJA	• samochody osobowe	FINANSE BIZNES	• kredyty, pożyczki
• ciężarowe, dostawcze	• busy autobusy	• usługi finansowe	• usługi prawne
• rolnicze	• przyczepy, naczepy	• biura rachunkowe	• ubezpieczenia
• przyczepy, naczepy	• zabytkowe	• oferty	• inne
• uszkodzone, rozbite	• motocykle		
• części i akcesoria		NAUKA	• szkoły
			• kursy/szkolenia

• języki obce	• korepetycje	PRACA	• zatrudnię
• inne		• urzędy pracy	• szukam pracy
		• inne	
		ZDROWIE	• apteki
		• pomoc całodobowa	• chirurgia
		• ginekologia	• internia
		• neurologia	

• pediatria	• psychologia	• stomatologia	• urologia
• inne specjalizacje	• przychodnie, kliniki	• laboratoria	• zabiegi
• opieka	• sprzęt medyczny	• uroda	• inne
	• agd rtv foto	USŁUGI	• budowlano-remontowe

• instalacyjne	• biurowo - projektowe	• komputerowe	• krawiectwo
• montażowe	• ogrodnicze	• porządkowe	• przeprowadzki
• reklamowe	• stolarskie	• radio taxi	• transportowe
• rozrywka	• uroczystości	• zabezpieczające	• inne

TURYSTYKA	• agroturystyka	• kraj	• świat
• biura podróży	• obozy i kolonie	• wycieczki	• przewozy
• inne		ZWIERZĘTA	• lecznicze
		• usługi	• inne
		MATRYMONIALNE	
		RÓŻNE	

KOMUNIKATY	ZYCZENIA/PODZIĘKOWANIA
GASTRONOMIA	• dania na telefon
• usługi	• inne
ROLNICZE	• maszyny rolnicze
• ogrodnictwo	• plody rolne
• zwierzęta hodowlane	• inne
TOWARZYSKIE	
USŁUGI KAMIENIARSKIE	
USŁUGI POGRZEBOWE	

AUTOREKLAMA

AUTOREKLAMA

Polecamy →



strefa BIZNESU.pl

Know-how
w dobrym biznesie

strefabiznesu.pl

REKLAMA 0011504916

Stacja demontażu pojazdów
ZŁOMUJGRATA.PL
KASACJA POJAZDÓW
64-100 Lasocice k. Leszna
ul. Wschodnia 36A (przy S5)
500 545 500

REKLAMA 0011459133

ZŁOMOWANIE POJAZDÓW
tel. 600 609 606
Wszystkie formalności załatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem
Cenimy Twój czas!

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

REKLAMA 0011502538

INFORMATOR POGRZEBOWY

KAMIŃSCY Zielona Góra, ul. Kościelna 4, Zyty 19,
tel. 693 424 440; 68-3230509 oraz Polkowice ul. Spokojna 1; Le-
gnica ul. Chojnowska 7; Szprotawa ul. Kościuszki 31A
przewóz zmarłych 24 godz., kompleksowa organizacja
pogrzebów oraz transmisja pogrzebu online.

MIEJSKI ZAKŁAD POGRZEBOWY
Zielona Góra, Masarska 13,
tel. 68-3202235, 68-3202232, przewóz zwłok,
kompleksowa obsługa pogrzebów 601798365 całą dobę.

PRO MORTE Gorzów Wlkp. ul. Żwirowa 19E, tel. 95-7810083
Organizacja Pogrzebów, Pogotowie Pogrzebowe 24 h.



Piąta strona świata

stronapodrozy.pl

ŻUŻEL W WIELKANOCNĄ NIEDZIELĘ JEDNA Z IKON FALUBAZU ZIELONA GÓRA ZAPRASZA NA POŻEGNALNY TURNIEJ

Grzegorz Walasek: - Jasiu mówił: „Daj sobie spokój”. Ale ja byłem charakterny

Maciej Noskowicz
mnoskowicz@gazetalubuska.pl

Jest jedną z ikon zielonogórskiego żużla, choć jego kariera wiodła przez wiele klubów i największe światowe areny. Indywidualny i drużynowy mistrz Polski, uczestnik cyklu Grand Prix i człowiek, który o czarnym sporcie wie niemal wszystko. W niedzielę wielkanocną Grzegorz Walasek, dziś trener ekstraklasowego Falubazu, oficjalnie pożegna się z torami podczas jubileuszowego turnieju na torze w Zielonej Górze.

Grzegorz, jesteś człowiekiem utożsamianym z historią zielonogórskiego żużla. W niedzielę oficjalnie powiesz „pas” podczas turnieju pożegnalnego. Dotarło już do Ciebie, że to koniec zawodowej jazdy? Czy poczujesz to dopiero, gdy inni wyjadą do startu, a ty zostaniesz w parku maszyn?

Tej wiosny motocykle już wyjechały na tor, więc miałem sporo czasu na przemyślenia. Bywały takie wieczory, kiedy zastanawiałem się, czy nie jedzę już zbyt długo. Czułem, że być może tracę czas na coś, czym nie powinienem się już zajmować, zamiast w pełni wejść w nową rolę. Kiedy niedawno koleddy z Torunia wyjechali na tor w Zielonej Górze, ostatecznie do mnie dotarło: to jest ten czas i miejsce, by to zakończyć. Podjąłem decyzję i nie żałuję. Trzeba zamknąć ten etap w głowie i zająć się czymś innym, a obowiązków mam teraz mnóstwo. Gdyby nie ten wywiad, pewnie nawet bym o żużlu w kontekście własnych startów nie myślał, bo żyję już nowymi zadaniami.

Pamiętam nasze rozmowy sprzed kilku lat. Po słabszych meczach mówiłeś: „To chyba już koniec”, a później wracałeś. Trudno było się rozstać z tą adrenaliną?

Dobry mecz zawsze cię napędza. Gdy wygrywasz, głowa pracuje lepiej, wracają chęci



Grzegorz Walasek aż 33 lata spędził na żużlowych torach. Barw Falubazu Zielona Góra bronił przez 12 sezonów

do pracy. Gorzej, gdy przychodzi słabszy moment. W pewnym wieku nie masz już co liczyć na taryfę ulgową, czy słowa wsparcia. Ludzie patrzą i wiedzą: albo jedziesz, albo skończymy. Ta sytuacja krążyła wokół mnie od dawna, ale teraz klamka zapadła.

Tvoja historia z żużlem zaczęła się kilkadziesiąt lat temu. To prawda, że trafiłeś na stadion przez przypadek? Absolutnie przez przypadek. Mój tata pracował jako kierowca w Falubazie. W wakacje wioził chłopaków na motocross do Gubina i po prostu

mnie zabrał. Tam poznałem Jarka Szymkowiaka, który pochodził z mojej miejscowości. Wcześniej wiedziałem, że jeździ na żużlu, ale zupełnie mnie to nie obchodziło. Dopiero po tym obozie coś się zmieniło. Przesiadywałem na wzgórzach i patrzyłem, jak on trenuje. Gdyby nie tata i ten jeden wyjazd, pewnie nigdy nie zostałem żużlowcem. Wcześniej w ogóle nie ciągnęło mnie na stadion.

Na początku lat 90. poprzedniego stulecia w żużlowej Zielonej Górze była epoka Mo-

rawskiego. Co takiego miał w sobie ten sport, że porwał chłopaka z tamtych lat?

Zakochałem się w estetyce tego sportu. Te kolory, tarcze na kołach, osłony... To robiło niesamowite wrażenie. Ale nauka nie była łatwym kawałkiem chleba. Trafiłem pod skrzydła trenera Jana Grabowskiego. Dzisiejsi adepci nie mają pojęcia, jak wyglądała wtedy selekcja. Na trening przychodziło 50 chłopaków, a w klubie były może cztery motocykle. Czekałem na swoją kolej po pięć treningów i często się nie doczekałem. A sam trener Grabowski? Wychodził i palcem pokazywał: ty, ty i ty - dziękujemy.

Za co dziękował? Za brak talentu?

Często za wygląd. Długie włosy, kolczyki, jakieś przypinki - to wystarczyło. Pierwsza selekcja była krótka. Potem była słynna chorągiewka, którą dostawało się w „tyłek”.

To nie były mity. Sam ją poczułem, gdy źle wchodziłem w łuk. Jasiu uczył nas techniki na surowo. Jak środek ciężkości był nie tam, gdzie trzeba, albo wykrok był zły, chorągiewka szła w ruch. Kilka razy z nim rozmawiałem, mówił mi: „Grzesiu, nie przychodź więcej, daj sobie spokój”. Ale ja byłem charakterny. Wracałem, próbowałem jeszcze raz, aż w końcu zrozumieliśmy się na torze.

Przeszedłeś przez okres, gdy w klubie brakowało dosłownie wszystkiego. Jak wtedy wyglądało szkolenie?

To był czas, kiedy szkółka kulała. Zbieraliśmy olej od starszych zawodników. Kiedy mechanik spuszczał przepracowany olej z silnika, ja go zabierałem. Ten, kto miał olej, ten mógł trenować. Na tym to polegało.

Tvoja kariera to także głośny transfer do Częstochowy. Nie

miałeś dylematów, opuszczając Zieloną Górę?

Sytuacja w klubie była wtedy trudna, prezesi się zmieniali. Czułem pewną zadrę. Miałem kontrakt do końca wieku juniora, ale kwestie finansowe negocjowano co roku. Czułem, że ludzie w klubie chcą ze mnie wycisnąć wszystko, nie dając nic w zamian. Powiedziałem sobie, że jak tylko skończę wiek juniora, to odchodzę. W Częstochowie musiałem walczyć o skład z Adamem Skórnikiem czy Tomkiem Jędrzejakiem, ale to był mój najlepszy czas. Tam zdobyłem Indywidualne mistrzostwo Polski, tam nauczyłem się najwięcej i tam poznałem ludzi, na których mogłem liczyć przez lata.

Później był wielki powrót do Falubazu w 2006 roku. Robert Dowhan ściągnął najpierw Ciebie, a następnie Piotra Protasiewicza, budując „dream team”.

To była świetna koncepcja. W 2009 roku wywalczyliśmy złoto w spektakularnym stylu. Pamiętam ten czas jako niesamowity skok popularności żużla w mieście. Awans do ekstraklasy, brązowy medal, aż w końcu złoto. Ludzie tym żyli. To był piękny okres, choć jak wszystko w sporcie, miał swoje upadki i wzloty.

Startowałeś w cyklu Grand Prix, ale sam przyznajesz, że mogło być lepiej. Czego zabrakło?

Doświadczony mechanik, który pomógłby mi z ustawieniami na różnych torach. W lidze, na domowym torze bawaliśmy na tym, co znałem, ale na długich, twardych torach w Europie nie potrafiłem dopasować motocykla. Czasami trzeba podjąć nielogiczną decyzję - przestawić zapłon czy gaźnik w stronę, która wydaje się ryzykowna. Gdy sam zacząłem kombinować, wygrywałem biegi na ustawieniach, które teoretycznie nie powinny działać. Zabrakło mi wtedy dodatkowych oczu w parkingu. Moje marzenie o startach w Grand Prix speł-

FOT. TOMASZ GAWALKEWICZ/POLSKA PRESS



FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI/POLSKA PRESS

W kevlarze reprezentacji Polski Grzegorz Walasek dwa razy sięgnął po Puchar Świata

niło się, marzenie o podium już nie, ale nie robię z tego dramatu.

Nie możemy nie zapytać o relacje z Piotrem Protasiewiczem. Byliście dwiema wielkimi indywidualnościami z jednego pokolenia. Naprawdę iskrzyło między wami tak, jak pisały media?

Tematy były wyolbrzymione. Rywalizacja na torze zawsze buduje napięcie. Jak ktoś kogoś przyblokuje w biegu, to zostaje „zadzior”. Poza torem nie byliśmy wielkimi przyjaciółmi, ale relacje mieliśmy poprawne. Dziś jesteśmy w zupełnie innych miejscach i bardzo szanuję Piotra jako organizatora i szkoleniowca. To, że na inaugurację sezonu PGE Ekstraligi wylosowano mecz Falubazu ze Spartą Wrocław [10 kwietnia zielonogórzanie ścigać się będą na wrocławskim torze - red.], gdzie on jest dyrektorem, a ja będę w boksie trenerskim po drugiej stronie barykady, to nie przypadek. To świetny smaczek dla kibiców i telewizji.

TURNIEJ POŻEGNALNY GRZEGORZA WALASKA

● **Niedziela - godz. 16.00, stadion przy ul. Wrocławskiej w Zielonej Górze;** wejście na obiekt od godz. 15.00.

● **Uczestnicy turnieju:** Leon Madsen, Patryk Dudek, Dominik Kubera, Grzegorz Zengota, Piotr Pawlicki, Maciej Janowski, Przemysław Pawlicki, Andrzej Lebediew, Fredrik Lindgren, Martin Vaculik, Maksym Drabik, Rohan Tungate, Bartosz Zmarzlik, Mateusz Szczepaniak, Damian Ratajczak.

Co cię najbardziej denerwuje w dzisiejszym żużlu?

Jako trener czasami tracę cierpliwość, gdy tłumaczę coś chłopakom, a oni nie reagują, albo nie rozumieją prostych komend. To mnie spala bardziej niż jazda. A co do kierunku, w którym idzie sport... Cóż, liga polska napędza wszystko, ale młodzi mają dziś zupełnie inne podejście. Gdybym kazał im jechać do Anglii na te trudne, techniczne torze, wielu pewnie skończyłoby kariery. Ja tam zostawiłem dużo zdrowia, miałem wiele kontuzji, ale to też mnie ukształtowało. Żużel to piękny, ale brutalny sport.

Od tego sezonu wzięłeś na siebie dużą odpowiedzialność - będziesz prowadził pierwszy zespół Falubazu. Praca z młodzieżą od razu ci się spodobała?

Dostałem propozycję i chwilę się zastanawiałem. Z drugiej strony, nie miałem już ofert z ligi szwedzkiej, została tylko Polska, więc w tygodniu zwyczajnie zaczynałem się nudzić. Postanowiłem spróbować. Na początku, przed pierwszym treningiem, miałem chwilę zawałania: „Kurczę, co ja mam tym chłopakom powiedzieć? Od czego zacząć?”. Wtedy przypomniałem sobie, czego uczył mnie Jasiu Grabowski. Wróciłem do podstaw: odpalenie motocykla, samo wyjście spod taśmy. To musi działać się naturalnie. Jak chłopak jest dobrze ułożony na motocyklu, to resztę sam sobie wypracuje.

Da się od razu wyczuć, że z konkretnego chłopaka „coś będzie”?

Każdy jest inny, choć wiadomo, że w żużlu najlepiej

pracuje się ze szczupłymi, drobnymi chłopakami. Ale można się pomylić. Nauczyłem się, że w tym sporcie decyduje głowa. Dawałem chłopakowi szansę, widziałem, że fajnie łapie rytm, puszczałem go na tor częściej niż innych, a on nagle mówił: „Rezygnuję, bo się boję”. Mama go zabrała i temat się kończył.

Praca z juniorami to jedno, ale teraz przed tobą „stara gwardia”, zawodowcy. Jeszcze niedawno byłeś jednym z nich. Jak określić tyle silnych charakterów w jednym boksie?

To będzie wyższy poziom. Każdy z nich ma coś za uszami, każdy ma swoje wymagania, co do toru i własny plan na wjechanie w sezon. Trudno jest narzucić coś komuś, kto startuje od lat i mówi: „Trenerze, ja wiem, co mam robić”. Moim zadaniem jest to wypośredkować. Muszę uważać na słowa i tak zarządzać przygotowaniem, żeby każdy dostał to, czego potrzebuje. To sport indywidualny uprawiany w drużynie. Charaktery na motocyklach są potężne, a patrząc na nasze zestawienie: Pawlicki, Kubera czy Madsen, nudy nie będzie.

W Zielonej Górze żużel to niemal religia. Czujesz, że ta magia wciąż działa tak samo jak 30 lat temu?

Działa, bez dwóch zdań. Ludzie mnie zaczepiają, cały czas o tym mówią. Czuć presję, ale bez niej w sporcie nie da się żyć. Z nią trzeba się po prostu zaprzyjaźnić.

Wróćmy do niedzielnego turnieju pożegnalnego. Obsada jest imponująca. Podobno mistrz świata Bartosz Zmarzlik nie dał się długo namawiać na udział w imprezie.

Z Bartkiem znamy się dobrze, startowaliśmy razem w Gorzowie, często rozmawialiśmy przy różnych okazjach. Kiedy zadzwoniłem, wyczułem moment i przerwał mi w połowie zdania: „Będę”. Podobnie było z Grześkiem Zengotą czy Patrykiem Dudkiem. Jak dostałem potwierdzenie od takiej trójki, wiedziałem, że robimy to zakończenie na poważnie. Do Fredrika Lindgrena pisałem z pomocą żony i córki, bo mój angielski nie jest idealny (śmiech). Odpisał mi od razu, wysłał stare zdjęcia ze wspólnych zawodów w Toruniu i potwierdził przyjazd.

Nie kusilo cię, żeby samemu ubrać kevlar i ostatni raz wyjechać do biegu punktowego?

Był taki pomysł, ale nie jestem przygotowany do walki przy takiej stawce. Nie chciałbym zrobić krzywdy sobie ani kolegom. Żeby się ścigać z najlepszymi, głowa musi pracować tylko w jednym kierunku, a ja teraz „latać”, żeby dopiąć organizację turnieju i obowiązki trenerskie. Być może wsiądę na motocykl w celach testowych, żeby dopasować sprzęt młodemu zawodnikowi. Czasami lepiej samemu coś wyczuć, niż polegać tylko na opisie chłopaka, który dopiero się uczy.

W Wielkanoc twoje oficjalne pożegnanie, a w sierpniu skończysz 50 lat. Szykuje się kolejna wielka feta?

Ten turniej traktuję jako całość - pożegnanie z torami i moje 50. urodziny. Zapraszam wszystkich kibiców. Nawet, jeśli pogoda nie będzie idealna, przyjdźcie, bo obsada gwarantuje świetne ściganie. Do zobaczenia!

Grzegorz Walasek

● Jeden z najbardziej utytułowanych wychowanków Falubazu Zielona Góra w barwach macierzystego klubu ścigał się w sezonach 1993-1999, 2006-2009 i 2015. Reprezentował też zespoły z Częstochowy, Bydgoszczy, Torunia, Rzeszowa, Rybnika, Krakowa, Gorzowa czy Ostrowa Wielkopolskiego. W tym ostatnim startował jeszcze w minionym sezonie. W kolekcji trofeów ma m.in. dwa złote i trzy brązowe medale drużynowych mistrzostw Polski. W sezonie 2009 był członkiem zielonogórskiej drużyny, która po 18 latach sięgnęła po złoto. Ma na swoim koncie tytuł indywidualnego mistrza Polski, a z kadrą Biało-Czerwonych dwukrotnie wywalczył złoty medal w Drużynowym Pucharze Świata. ©

Falubaz ponownie wygrał. Teraz pora na poważniejsze ściganie w PGE Ekstralidze

Cezary Konarski
ckonarski@gazetalubuska.p

ŻUŻEL. Żużlowcy Stelmetu Falubazu Zielona Góra po raz drugi pokooali w sparingowym meczu zespół z Ostrowa Wlkp. „Myszy” tym razem okazały się lepsze na torze rywali.

Moonfin Magnus Ostrów 38

Stelmet Falubaz Zielona Góra 52

Moonfin Magnus: Dymowski 0 (0,-,-,-,u), Krawczyk 4+1 bonus (1,3,0,0), Jakobsen 8 (2,3,3,-), Holder 2 (d,0,0,2), Czuginow 9 (2,1,2,1,3), Seniuk 6+2 (2*,2,0,1*,1), Sitek 9+1 (3,0,2,2,2*), Szostak 0 (0,0).

Stelmet Falubaz: Kubera 9 (3,3,3,-), Hurysz 10+1 bonus (1,2*,1,3,3), Curzytek 7+3 (1,1*,1,2*,2*), Ratajczak 12 (3,2,3,3,1), McDiarmid 10 (3,2,2,3,0), Lightcap 2+1 (1,0,1*), Farański 2+1 (0,1*), Rudolf 0 (0).

W porównaniu z pierwszym meczem obu drużyn w Zielonej Górze (we wtorek Falubaz wygrał 54:36), ostrowska drużyna ścigała się wzmocniona Christem Holderem, ale Australij-

czyk spał się słabo. Z kolei Zielonogórzanie ścigali się w jeszcze słabszym zestawieniu niż na własnym torze, bo do nieobecnych wtedy Leona Madsena i Przemysława Pawlickiego dołączył kolejny z liderów Andrzeja Lebediew.

Żużlowcy Falubazu mimo to znów przeważali, szczególnie w drugiej części meczu. Po siedmiu wyścigach goście prowadzili tylko 23:19, ale przed ostatnią gonitwą ich przewaga wzrosła do 18 punktów (51:33). Warto zaznaczyć, że w zespole zielonogórskim zadebiutował 20-letni Amerykanin Slater Lightcap.

Spotkanie towarzyskie w Ostrowie było dla Falubazu ostatnim sparingiem przed startem sezonu w PGE Ekstralidze. Pierwszy mecz Zielonogórzanie rozegrają 10 kwietnia (godz. 20.30) na torze Betardu Sparty Wrocław. Na własnym stadionie Falubaz sezon zainauguruje 19 kwietnia o godz. 19.30, spotkaniem z Bayersystemem GKM Grudziądz. ©



FOT. DAMIAN GRABSKI FOTOGRAFIA

Dominik Kubera, nowy zawodnik Stelmetu Falubazu Zielona Góra, na ostrowskim torze wygrał trzy wyścigi

AUTOREKLAMA

Q604905502A

PREZENT DLA CZYTELNIKÓW

We wtorek, 7 kwietnia z „Gazetą Lubuską”

TERMINARZ ŻUŻLOWY 2026

- Rozkład jazdy PGE Ekstraligi
- Turnieje Grand Prix
- Mistrzostwa świata i Europy
- Mistrzostwa Polski

SPORT

www.sportowy24.pl

Gorzowianki zrobiły pierwszy krok do finału

Robert Gorbat
rgorbat@gazetalubuska.pl

KOSZYKÓWKA. W Orlen Basket Lidze Kobiet rozpoczęła się rywalizacja w półfinałach play offu. W środowy wieczór gorzowianki pokonały na swoim boisku poznaniańki. Drużyna, która wygra całą serię 3:0, znajdzie się w wielkim finale.

KSSSE Enea AJP Gorzów 72

Enea AZS Politech. Poznań 61

Kwarty: 28:16, 24:12, 12:16, 8:17.

Stan rywalizacji (do trzech zwycięstw): 1:0.

KSSSE Enea AJP: Hurt 12, Gertchen 11 (3x3), Szymkiewicz 10, Telenga 4, Stasiak 3 (1x3) oraz Owusu 15 (1x3), Osborne 9 (2x3), Kloska 8 (2x3), Steblecka 0 i Lebiecka 0.

Enea AZS Politechnika: Popowicz 10 (2x3), Piasecka 10 (2x3), Carter 8, Brown 8, Pyszczolarska 5 oraz Hank 14, Puzio 2, Utkowska 2, Haegenbarth 2 i Kośla 0.

Sędziowali: Bartosz Puzoń, Filip Marek i Tomasz Konopacki.

Widzów: 3 tysiące.

- Pierwszy mecz jest najważniejszy, on ustawia całą rywalizację - przekonywał nas przed środowym spotkaniem gorzowianek z poznaniańkami Piotr Kaczmarek, media menadżer AZS AJP.

Najpierw honory, potem... lawina

Przed pierwszą akcją wyróżnienia odebrały od gorzowskiego klubu dwie miejscowe zawodniczki: Courtney Hurt (za wybór do najlepszej piątki zasadniczego sezonu OBLK) i Weronika Steblecka (najlepsza w Krajowej Lidze Koszykówki). To był dobry omen, bo gospodynie rozpedziły chwilę później... prawdziwą koszykarską lawinę.

Zanim się przyjezdne zorientowały, przegrywały w 3 min 7:0. A pierwszą kwartę skończyły ze stratą 12 „oczek” (28:16). Skąd taki wysoki wynik? W bardzo intensywnym spotkaniu gorzowianki imponowały zarówno doskonałą dyspozycją rzutową, jak też zdecydowaną grą w obronie. Dość będzie napisać, że w pierwszej połowie podopieczni trenera Dariusza Maciejewskiego aż osiem razy trafiły „za trzy”, podczas gdy rywalki zdołały się im zrewanżować tylko dwoma udanymi rzutami zza linii 6,75 m. Na początku spotkania na boisku rządziła Magdalena Szymkiewicz, potem dołączyły do niej Hurt i wchodząca z ławki Charisma Osborne.

BIEGI ULICZNE

Arkadiusz Wostal z Zielonej Góry wygrał VIII Półmaraton Świebudy i Sulecha (21,097 km z Sulechowa do Świebodzina) – 1.12,36. Drugi był Arkadiusz Blacharski z Garbicza – 1.12,43, a podium uzupełnił Przemysław Smykowski z Sulechowa – 1.15,12. Wśród kobiet najlepsza była Mirosława Sobieszczarska z Zielonej Góry – 1.33,04, przed Ewelina Michnowicz z Krosna Odrz. – 1.33,53 i Bożeną Borkowską z Sulechowa – 1.37,32.



FOT. POLMATON/FACEBOOK

TENIS STOŁOWY

Prezesem LUKS Pełcz Górki Noteckie trzeci raz z rzędu został wybrany Ryszard Kulczycki. Wiceprezesami zostali Bogdan Koszyk i Jacek Brakowski, sekretarzem - Przemysław Herner, a skarbnikiem - Rafał Chojnacki.



Atakuje Magdalena Szymkiewicz, broni Malina Piasecka

W drugiej odsłonie przewaga miejscowych wciąż rosła. Dziewczyny trenera Wojciecha Szuwarskiego w żaden sposób nie potrafiły zatrzymać trafiających z dystansu Magdaleny Kloski, Klaudii Gertchen i Os-

borne. A pod obydwoim koszami wciąż robiły swoje Weronika Telenga i Hurt. Mały problem powstał w 17 min, gdy trzecie przewinięcie „złapała” Gertchen. Kapitan KSSSE Enei AJP szybko usiadła na ławce,

zaś jej koleżanki... dokończyły dzieła. Do długiej przerwy powiększyły swą przewagę do 24 punktów (52:28), praktycznie rozstrzygając już w tym momencie losy pierwszego pojedynku o wejście do wielkiego finału.

Lubuszanki zdjęły nogę z gazu

Miejscowe miały nadzieję na utrzymanie znakomitej skuteczności swoich zawodniczek z ławki (26:3 do przerwy) i po zmianie stron boiska, lecz poznaniańki nie pozwoliły im na to. Ku zaskoczeniu 3 tysięcy widzów w Arenie Gorzów, wygrały trzecią kwartę czterema oczkami (12:16). Zapracowały na to pressingiem na całej długości i szerokości pakietu, a także dobrą dyspozycją swej „wieży” Jessiki Carter pod koszem. W 24 min powadzenie gorzowianek spadło poniżej 20 „oczek” (55:36), lecz zagrożenia dla końcowego wyniku wciąż było. Przed rozpoczęciem ostatniej, czwartej partii gospodynie prowadziły 64:44.

Tej Lubuszanki z pewnością nie zapiszą w annałach swego klubu. Najczęściej... patrzyły na zegar, chcąc bezpiecznie doholować wysoką przewagę

do końcowej syreny. Popelniały błędy w ofensywie, nie potrafiły sobie poradzić ze strefową obroną przeciwniczek, za długo rozgrywały swe akcje, „łapały” faule. Zupełnie odwrotnie niż poznaniańki. Te biegały po boisku, jak szalone, walczyły o każdą piłkę, wykorzystywały każdą okazję do oddania rzutu. Starczyło na wygranie ostatniej części spotkania 8:17 i zbliżenie się do gospodyń na dystans 11 punktów. Na więcej zabrakło czasu.

Zostały jeszcze dwa kroki

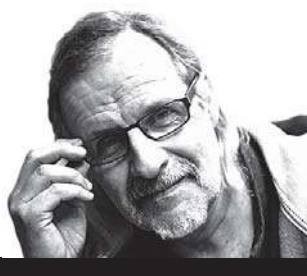
Gorzowianki zdobyły pierwszy krok do wielkiego finału OBLK. Drugie spotkanie odbyło się w Arenie Gorzów wczoraj. Zaraz po świętach, 7 kwietnia, zespoły spotkają się również o godz. 18.00 w Poznaniu w trzecim pojedynku.

Jeśli rywalizacja nie będzie rozstrzygnięta, to kolejne spotkania zaplanowano na 8 kwietnia w Poznaniu i 11 kwietnia w Gorzowie.

Wynik innego półfinałowego meczu: Lotto AZS UMCS Lublin – IKS Śleza Wrocław 85:69 - stan rywalizacji 1:0. Drugie, czwartkowe spotkanie zakończyły się po zamknięciu tego wydarzenia GL.

MOIM ZDANIEM

Andrzej Flügel



My, Polacy, potrafimy czasem znaleźć temat zastępczy, który przysłoni i usprawiedliwi rzeczywisty obraz. Tak jest po przegranych, barażowym meczu ze Szwecją w Sztokholmie. Chwilę po ostatnim gwizdku sędziego Internet rzucił się na słoweńskiego arbitra, który szybko stał się głównym

sprawcą naszej porażki, a co za tym idzie - nieobecności na mundialu. Wypowiedzi o tym, że sami jesteśmy sobie winni, bo jak można popełniać tak koszmarnie błędy w obronie, były w zdecydowanej mniejszości.

Oczywiście Slavko Vincer (w sumie czołówek europejska, gość, który sędziował finał Ligi Mistrzów) nie miał najlep-

NIEODPARTA CHEĆ PÓJŚCIA NA MECZ

szego dnia i można mieć pretensje o kilka decyzji, ale najpierw szukajmy winy w sobie, a potem u innych. Z tych błędów największy, moim zdaniem, to brak rzutu karnego, kiedy faulowany był Jakub Kamiński. Tyle, że tu zawalili niemieccy sędziowie VAR, bo ten faul widać w całej krasie dopiero w powtórkach i przy stop klatce. Nie mam pojęcia, dlaczego nie zareagowali i nie poprosili arbitra, żeby obejrzał tę sytuację na ekranie. Tak więc daliśmy ciała w obronie, Szwedzi na pięć celnych strzałów zdobyli aż trzy bramki. To była główna przyczyna porażki. I tyle...

W piłkarskiej trzeciej lidze przybyło chętnych do awansu. Do niedawna wydawało się, że największy rywal Lechii to Górnik Polkowice i Sparta Katowice. Tymczasem dołączyły rezerwy Zagłębia Lubin, LKS Goczałkowice i kto wie, czy nie Skra Częstochowa. Zielonogórzanie liderują, ale początek wiosny był taki sobie. W środę w zaległym meczu z LKS Goczałkowice Zdrój czekaliśmy na powrót formy z jesiennymi i się doczekaliśmy! Nasi zagraли fajny mecz, nie pozwolili gościom na nic, strzelili pięć goli, a mogli jeszcze więcej. To była Lechia, jaką zawsze chcemy oglądać!

Gorzowskie koszykarki stają do najważniejszych spotkań w tym sezonie. Najpierw półfinał z ekipą z Poznania, a potem - w co wszyscy wierzymy - finał. Myślę, że jest wielka szansa, by wywalczyć złoto, którego klubowi w kolekcji już zdobytych medali brakuje. Wierzę, że tak się stanie. Bo jeśli nie teraz, to kiedy?!

Koszykarze Orlen Zastalu przegrali ostatnio u siebie z niższej notowanym zespołem, czyli Twardymi Piernikami Toruń. W sumie, co zresztą przyznał trener Arkadiusz Miłoszewski, ostatni dobry mecz ligowy zielonogórzanie zagraли

w Gdyni z Arką, a było to niemal przed dwoma miesiącami. Czekam cierpliwie na wreszcie fajny i pewnie wygrany pojedynek!

Nie potrafię zrozumieć, czemu od lat w wielkanocny weekend zamierają w naszym regionie rozgrywki w A i B klasie. Dopytywałem kiedyś, kto wpadł na taki pomysł i usłyszałem, że kluby i piłkarze. Jeśli tak, to się bardzo dziwię, bo przecież w przedświąteczną sobotę najłatwiej wykręcić się od - czasem szalonych - porządków domowych nieodpartą chęcią pójścia na mecz. Kibice - pamiętajcie o tym!

©P

GAZETA LUBUSKA

www.gazetalubuska.pl

Redaktor naczelna **Maja Majewska**,
Z-ca redaktora naczelnej **Mateusz Różański**,
Prezes Makroregionu **Robert Glinowski**,
Dyrektor marketingu oddziału **Aleksandra Sobolewska**

Redakcja al. Niepodległości 25, 65-042 Zielona Góra
skr. pocztowa 120, tel. 68 32 48 600, 68 32 48 805
fax 68 32 48 872, redakcja@gazetalubuska.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia
85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**

Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskappress.pl, tel. 12 688 85 10

